TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XX ZESZYT 6



TREŚĆ

ZESZYT ZAWIERA 3 FOTOGRAFJE POZA TEKSTEM
I 7 FOTOGRAFIJ W TEKŚCIE



KRAKÓW—WARSZAWA, LIPIEC 1936 R.

REDAKCJA: J. A. SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4

CENA ZESZYTU 1·50 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA 4 ZŁ.
KONTO CZEKOWE „TATERNIKA" NR. 409.570

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYDAWNICTWA
KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji
«TATERNIKA»

	Zł.
TATERNIK, roczniki 1907, 1908, 1909 i 1911	wyczerpane
Do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4—6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po . . .	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z 2-ma zeszytami rocznika 1914	12·—
— 5 zeszytów za lata 1915—1927	10·—
— roczniki 1928 i 1929 po	4·—
— rocznik 1930	5·—
— rocznik 1931	6·—
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929—1935 po .	1·—
— zeszyty specjalne i podwójne po	1 50

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej PTT., str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), tylko dla członków Klubu . . . . . 7·—
cena egzemplarza brosz. . . . . . 10·—

II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr. . . . . 2·—

— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, Szkic. Osobne odbicie z «Taternika» 1909, str. 17 . . . . 1·—

— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931 . . . . 5·—

— ADRAR N'DEREN. Polska wyprawa alpinistyczna w Wysoki Atlas. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe, Kraków 1935 . . . . . 1·50

— MIECZYSŁAW ŚWIERZ. Ku czci człowieka gór. Praca zbiorowa, w 350 egzemplarzach numerowanych. Kraków 1933 . . . . 1·50

— NOWE DROGI W TATRACH WYSOKICH. Przewodnik perjodyczny. Zeszyt I. Grupa Lodowego Szczytu. Warszawa 1931 (odbito na powielaczu) . . . . wyczerpane
Zeszyt 2. Od Wsch. Żelaznych Wrót do Polskiego Grzebienia. Warszawa 1932 . . . . 1·50

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE, I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118

IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liljowego po Wagę), str. VIII+178

V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.

VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII+100

Całość 15·— zł. tylko dla członków Klubu

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.

TATERNIK

ROCZNIK XX ★ KRAKÓW, LIPIEC 1936 R. ★ ZESZYT 6

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO



ROMAN KORDYS

dr praw i dziennikarz o głośnem imieniu (w latach 1922—1929 nacz. red. «Słowa Polskiego» we Lwowie, w latach 1929—1934 red. «Ilustr. Kuryera Codziennego» w Krakowie, członek Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy R. P. w Warszawie, wiceprezes Syndykatu Dziennikarzy w Krakowie)

ur. we Lwowie dnia 23 lutego 1886 r.

zm. w Krakowie dnia 6 grudnia 1934 r.

Taternik i alpinista znakomity,
działacz poświęcający górom najlepsze siły swego życia,
w latach 1906—1911 członek Zarządu Sekcji Turystycznej TT,
w latach 1907—1911 redaktor «Taternika»,
ponadto długoletni członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Oddziału Lwowskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Karpackiego Towarzystwa Narciarzy i t. d., i t. d.,
od 1928 r. członek honorowy Sekcji Turystycznej PTT.

*

Pamięci Zmarłego poświęca Klub Wysokogórski niniejszy zeszyt «Taternika».

* * *

Z pokolenia, które w ostatniem dziesięcioleciu przed Wielką Wojną zdobywało Tatry, był Roman Kordys jednym z pierwszych w czynie, a w świadomem opanowywaniu pobudek uczuciowych i rozumowych taternictwa bodaj najpierwszym.

Obdarzony zdolnościami umysłu, zwłaszcza bogactwem pamięci i jasnością sądu wysoko ponad zwykłą miarę, ciałem — olbrzym prawie, miał znakomite warunki do odegrania przodującej roli w budzącym się wówczas wśród młodzieży ruchu sportowym. Zajmował się wszystkiemi jego gałęziami i wszystkich niemal próbował; wszelako gry sportowe na boiskach były Mu raczej przygodną rozrywką czy zaprawą, a całą siłą i umiłowaniem zwrócił się ku sportom górskim, ku taternictwu i narciarstwu. Niestety zapasy sił fizycznych Kordysa wyczerpywały się szybko; już przed trzydziestym rokiem życia zaczął podupadać na zdrowiu. Czynny Jego udział na większą miarę w taternictwie i alpinizmie trwał niespełna lat osiem. Starczyło jednak tego czasu, aby imię Romana Kordysa zapisało się znakomicie w tej dziedzinie i jako trwałe światło w niej pozostało.

Na progu lat młodzieńczych znalazł się w Tatrach, w towarzystwie pokrewnych Mu zamiarami i pędem do czynu rówieśników, Zygmunta Klemensiewicza i Jerzego Maślanki. Rychło porzucili wszyscy «obowiązujące» wówczas oddawanie się w opiekę przewodników zawodowych. a porzucili nietyle chyba z przyczyn, które im się wtedy wydawały istotne: cały ich rozwój późniejszy wskazuje, że czuli podświadomie nieodpartą potrzebę znalezienia się wobec gór o własnych tylko siłach, z pełną, własną odpowiedzialnością i że to przedewszystkiem było powodem przełamania starej zasady, przyjętej pod Tatrami przez «ludzi z dołu». Uzyskana w ten sposób swoboda, szybkie a bystre rozeznanie się w świecie górskim, we własnych zdolnościach i w najgodniejszych pożądania celach otworzyły im już w pierwszych latach mnóstwo szlaków skalnych dawniej odkrytych i wiele nowych, samodzielnie wybranych, obmyślonych i zdobytych. Miarą osiągniętych na tej drodze wyników jest pierwsze przejście grani Kościelca już w trzecim roku działalności taternickiej, a w dwa lata później — grani Żabiego Konia.

Trudno dziś, zapewne, rozgraniczyć role w inicjatywie i wykonaniu świetnych zdobyczy, jakich w krótkim czasie dokonał ten mały zespół młodych ludzi, który przybrał napół żartobliwą nazwę Himalaja Clubu — nazwa ta mówi dziś więcej niż wtedy, wskazuje na szczytność marzeń nowoczesnego taternictwa polskiego już w okresie przed odzyskaniem niepodległości, a dziś straciła bodaj całą żartobliwość. Odsłonić te sprawy po latach mogliby chyba sami członkowie zespołu. Wiemy jednak tyle, że Roman Kordys bywał jego duszą w wielu najpiękniejszych przedsięwzięciach, że podejmował odkrywcze i zdobywcze wyprawy samotne i że Swą równoczesną i późniejszą działalność w piśmiennictwie taternickiem rozwijał na tle przebogatych własnych przeżyć.

Działalność piśmiennicza Romana Kordysa szła we wszystkich chyba kierunkach, głównie w historycznym i filozoficznym; najrzadziej wypowiadał się w opisach. Czy to w górnych słowach opowieści o zdobywaniu przez siebie Wideł, czy w smutnej rozprawie, którą oczyścił dzieje nowszego taternictwa z przechwałek głośnego przed laty dziwaka, czy w bystrości zdań o najgłębszych pobudkach czynu ludzi gór, czy wreszcie w ostatnim przedśmiertnym utworze, gdzie w olśnieniu sławi teraźniejszość i przyszłość alpinizmu polskiego, wszędzie Roman Kordys jak w czynie górskim, tak i w słowie «wysilał się do ostatka» na rzecz piękna i prawdy.

Najlepsze lata poświęcił «Taternikowi», którego redakcją kierował z uszczerbkiem własnej twórczości, szukając nowych pisarzy, rzucając pomy-

sły, stawiając zagadnienia. O swe przekonania i wierzenia w dziedzinie organizacji i kierunku taternictwa walczył z odwagą i otwartością; nie zyskiwał tem poklasku, raczej narażał się na nowe trudności w drodze do wyrównania przeciwieństw, ale też raz je wyrównawszy nie zostawiał za sobą niedopowiedzeń i ukrytych, niezłamanych cierni. Wytrzymywał ataki na własnej osobie i potrafił zawsze osłonić przed niemi całość zrzeszenia i kierunek, który ono obierało za Jego najczęściej przewodem.

Otwarcie i bez wahania odgraniczał swe odmienne lub przeciwne zapatrywania także od wypowiedzeń się przyjaciół, jeśli się jakieś godne uwagi różnice zaznaczały. A nader nieliczni byli ci, którzy mogli się szczycić mianem przyjaciół Romana Kordysa. Żyjący stwierdzą zgodnie, że w przyjaźni — aż do granic swych przekonań, wierzeń i ukochań — gotów był z lekkiem sercem i prostotą do prawdziwych poświęceń, odsłaniających w takim błysku żywą i serdeczną wrażliwość, opancerzoną na codzień poprawnością zewnętrznego chłodu. Zasłona ta opadła raz zupełnie, w obliczu śmierci Mieczysława Karłowicza, do którego znacznie młodszy i rozwijający się dopiero Kordys odnosił się zresztą w sposób wyjątkowy, zgodnie z wyjątkowością zjawiska, jakiem był w taternictwie Karłowicz. W przedmowie do księgi pism tatrzańskich tegoż, napisanej imieniem Sekcji Turystycznej T. T., nie zaznaczył Kordys oczywiście żadnych różnic ideowych między zmarłym a sobą. A jednak jest ta przedmowa ostatnim może oddźwiękiem, jaki u Kordysa znalazł kończący się ze znakomitym muzykiem twórczy i szczery romantyzm w taternictwie.

Najnowsze taternictwo miało w Nim nietylko rzecznika pełnego odczucia i zrozumienia, ale inicjatora wielu doniosłych poczynań. On pierwszy z właściwą sobie siłą przekonania i ostrością sądu podkreślał znaczenie nieśmiało zrazu kiełkującego hasła: «przyszłość taternictwa leży poza Tatrami». Wiedział, że czynnej roli w tej przyszłości nie będzie mógł odgrywać, że to hasło odwracać będzie myśli i marzenia młodego pokolenia od ukochanego przez Kordysa gniazda skalnych szczytów. A przecież przekonywał wątpiących i byłby umiał uciszyć głosy niechętnych temu hasłu wśród starszego pokolenia, znużonego już szarpaniną i porażkami w tak często daremnych — czasu niewoli — przedsięwzięciach; ale nieliczne te głosy nie znalazły poważniejszego wyrazu nazewnątrz. To poświęcenie się sprawie, która właśnie jedynie upragnionej nagrody przynieść Mu nie mogła, jest i pozostanie w pamięci polskich taterników-alpinistów jednym z najpiękniejszych rysów postaci Romana Kordysa.

STEFAN S. KOMORNICKI

W DOLOMITACH

Było to 23 lipca 1908 r. Leżeliśmy z Romkiem na wygładzonej płycie koło Regensburger Hütte i wiedliśmy jedną z tych rozmów o najważniejszych dla nas sprawach — o górach, jak je przeżywaliśmy. Mieliśmy za sobą już wówczas szereg sezonów spędzonych w Tatrach, pokaźną listę pierwszych przejść i pierwszych powtórzeń najtrudniejszych wtedy dróg, a przecież gdzieś w zakamarkach duszy czaiły się resztki nieufności we własne siły, wracało przekornie dręczące pytanie: czy też sprostalibyśmy taksamo dobrze trudnościom innych gór? Bo któż mógł wiedzieć jak się przedstawiają najpoważniejsze wspinaczki alpejskie w porównaniu z temi które robiliśmy w Tatrach. Oczywiście pośrednio wiedzieliśmy o tem niejedno. Przyjeżdżali alpiniści niemieccy, ostatnio Häberlein, w Tatry. Z naszych poznał już Dolomity i Kaisergebirge Janusz Chmielowski. Ba, trzeci z naszej trójki, «Żorż» Maślanka, zrobił nam jeszcze w 1905 r. taką niespodziankę, że umówiwszy się na sezon w Tatrach, wyjechał nikomu nic nie mówiąc w Taury i Dolomity. Nie mając

towarzystwa, nie wiele mógł dokonać, lecz przywiózł przeświadczenie, że góry są wspaniałe.

Odtąd mówiło się na posiedzeniach H. C. bez przerwy o wyjeździe w Alpy. W dyskusjach tych wodził rej Romek, zaczytujący się całemi dniami w literaturze alpejskiej. W oczekiwaniu odpowiedniej pory, robiliśmy wszystkie możliwe przygotowania. Nauczywszy się jazdy na nartach, zaczęliśmy chodzić w zimie. W r. 1907 pragnąc wypróbować sił w pokonywaniu trudności wspinaczek dłuższych, niż normalnie napotykane w Tatrach, przeszedłem z A. Znamięckim Ostry Szczyt «na krzyż».

Tak nadeszło lato 1908. Warunki zewnętrzne układały się pomyślnie. Najmniej zasobny zwykle w mamonę z całej trójki, zdobyłem właśnie stopień i tytuł doktora filozofji, co oprócz korzyści moralnych otwierało jeszcze obiecującą perspektywę w kierunku ojcowskiej kieszeni, normalnie odżegnującej się od popierania moich wypraw górskich jako sprzecznych z ustalonym porządkiem i obyczajem rodzinnym. Moim towarzyszom nie brakowało też ani czasu, ani pieniędzy. Zapadła więc decyzja: jedziemy w A l p y. Oczywiście na początek w Dolomity, znane nam z opisów Normana Nerudy i wspaniałych zdjęć Terschaka. Szczegółowy plan, opracowany przez Romka, został po dyskusji na kilku posiedzeniach H. C. ostatecznie ustalony. Żorża zatrzymywały jeszcze na dni kilka jakieś rysunki czy egzaminy na Politechnice, wobec czego ruszyliśmy z Romkiem naprzód.

Po dwu nocach, źle przespanych na twardych ławkach i półkach wagonu, i dwu dniach bieganiny w Wiedniu, Salzbrucku i Insbrucku, gdzie zwiedzaliśmy coprawda mniej muzea i kościoły a więcej składy z przyborami górskiemi, wylądowaliśmy w St. Christina, by jeszcze tego samego dnia popołudniu podejść do schroniska.

Tak więc spełniły się nasze długoletnie marzenia. Byliśmy w Alpach. Kilka godzin marszu w górę, z ciężkim workiem, w skwarze łagodzonym delikatnym cieniem modrzewi, i widok wynurzających się na tle pogodnego nieba nagich turni, wystarczyły, by zapomnieć o niewygodach i zmęczeniu długą podróżą. Przed nami na tle zielonkawego włoskiego błękitu Dolomitów gorzały w pomarańczowym blasku niewiarygodnie strome ściany grupy Fermedy, znaczone tu i ówdzie tylko czarnemi smugami, które wytrawiała spływająca woda deszczowa. W przeźroczystem powietrzu rysował się do najdrobniejszych szczegółów, ujęty w ramę modrzewiowych lasów, fantastyczny profil całej grupy, od Małej Fermedy do Sas Rigais. Znaliśmy te szczyty już dobrze z literatury, od jutra mieliśmy je przeżywać.

Tymczasem leżeliśmy w promieniach zachodzącego słońca i wiedliśmy jedną z tych rozmów, w których myśl, karmiona minionemi przeżyciami, tworzy pierwiastki przyszłości. Więc rozpatrywaliśmy dotychczasowy przebieg naszej karjery taternickiej — Romkowi wydawała się ona wspaniała: młodzi chłopcy, niezachęcani przez nikogo, owszem, walcząc z biernym oporem otoczenia, znaleźliśmy w góry drogę w ł a s n ą. Przez poszczerbione granie tatrzańskie przywiodła nas ona aż tutaj, na zroszoną krwią i potem klasyczną ziemię zmagań alpinistów całego świata: *the playground of Europe*... Więc plany na przyszłość, naprzód na bliską — kilka jeszcze przejść ze średnich klas dla treningu — a potem ...potem nareszcie Komin Schmitta, najklasyczniejszy z wielkich kominów, komin, w którym każda przewieszka ma swą historję. A potem znów turnie Vajoletu, nad któremi zdaje się błądzić cień młodego Winklera. I wreszcie, na koniec, ósmy cud świata: obelisk urągający prawom ciężkości, niesamowita dzwonnica, śpiewająca chwałę Stwórcy w samotnej dolinie Montanaia, sobie tylko i nielicznym wybrańcom. Campanila

miała być ukoronowaniem naszej wyprawy w Dolomity. Baliśmy się o niej myśleć, ale tem staranniej przygotowywaliśmy wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Trzy śpiwory, które miały nas czekać w Cortina d'Ampezzo, zakupiliśmy umyślnie dla biwaku u stóp Campanili, odległej od wszelkich zamieszkałych miejsc. Śpiwory użyczyły nam schronienia na wielu pięknych wyprawach, lecz żadnemu z nas nie było pisane przespać w nich noc przed wejściem na Campanilę.

Na drugi dzień szliśmy w pogodny ranek po miękkiej murawie pod ścianę Fermedy. Jak rozkoszne są góry bez podchodzeń! U wejścia krótka narada. Romek wyciągnął tomik Purtschellera & Hessa i przeczytał opis. Właściwie mógł był równie dobrze recytować, wszak umiał go oddawna napamięć. Zresztą droga była jasna i dla nas, przyzwyczajonych do samodzielnego chodzenia, łatwa do znalezienia, nawet bez opisu. Kilka małych kominków i półek, dobrze poszarpane stopnie, i już jesteśmy u brzegu płyty. Nie tej «charakterystycznej płyty», jakich na każdej ścianie znajdziesz tuzin; poprostu P ł y t y, bez której nie byłoby Fermedy. Wiedzieliśmy już z literatury, że nie jest właściwie trudna, mimo to zbliżaliśmy się do niej z pobożnym szacunkiem, który jednak wkrótce rozpłynął się w uczuciu pewności siebie. Płyta była bezczelnie eksponowana, poprostu cała ściana tworzyła gładką — wydawało się zdala — zerwę, jakby ociosaną jednem uderzeniem topora. Gdyśmy na nią wstąpili, okazała się równocześnie bezczelnie łatwa, tak była podziurawiona masą doskonałych stopni i chwytów. Coś jak ściany tych gotyckich tumów, w których budowniczowie zostawiali już z góry system otworów, by łatwo było zaczepić belki rusztowania. Szliśmy tedy niezwiązani na linie, każdy na swoją rękę. Nie było to przepisowe, ale bardzo przyjemne. Dolomit trzymał świetnie, jak najsolidniejszy z granitów.

Stosunkowo wcześnie stanęliśmy na szczycie, co pozwoliło nam pozostać na nim prawie dwie godziny. Gdyśmy byli zajęci odcyfrowywaniem panoramicznego widoku, wyraźnego do najdrobniejszych szczegółów, dzięki cudnej pogodzie i wyjątkowo czystemu powietrzu, pojawił się jeszcze jakiś samotny turysta. Romek, którego żądza wiedzy nie znała granic, przystąpił zaraz, prosząc o objaśnienie widoku. Okazało się jednak że nasz problematyczny cicerone znał niewiele, w każdym razie mniej niż Romek wiedział z literatury i mapy.

Schodziliśmy na drugą stronę. Dziwne to zajęcie szukać na prostopadłej dolomitowej ścianie drogi w zejściu. W Tatrach widzi się zwykle coś niecoś ze samej ściany. Tu widać właśnie tyle co z okna wysokiej kamienicy: gzymsy, rynny i ulicę na dole. Trawersowaliśmy więc po półkach tam i sam, schodziliśmy kominami gdzie było można, i staraliśmy się dotrzeć do piargów. Mieliśmy zresztą opis drogi zrobiony z niemiecką starannością, więc bez błądzenia stanęliśmy wkrótce na dole, by po dobroczynnej trawiastej pochylni zbiedz do schroniska. Tak skończył się nasz pierwszy dzień w Alpach.

Następne minęły również zgodnie z programem i bez przygód. Codzień pogoda, codzień nowy, klasyczny szczyt. Po dwu dniach przenieśliśmy się w grupę Langkofla, gdzie jednego wieczora przybył Żorż, powitany przez nas z zapałem, który wzbudził sensację w całem schronisku. Niepowodzenia czekały nas dopiero w kominie Schmitta. Pierwszy raz zaczęliśmy się do niego dobierać już dość późno, koło południa. Gdyśmy podchodzili do wejścia, zaczęły lecieć kamienie. Małe i średnie, przecinały powietrze z gwizdem pocisków. Nic dziwnego, wyrzucone z górnych przewieszek spadały kilkaset metrów wolno. Postanowiliśmy przeczekać. Wciśnięci w głąb załupy prowadzącej do komina, czekaliśmy godzinę, dwie. Kanonada ustawała od czasu

do czasu, lecz nie na długo. Dyskutowaliśmy tymczasem nad jej pochodzeniem: przyroda czy ludzie? Wreszcie ogarnęło nas zniecierpliwienie. Nie mogliśmy przecież czekać wiecznie. Zauważyłem, że widocznie tu już taki zwyczaj miejscowy, że kamienie lecą a ludzie mimoto muszą chodzić, więc należy iść. W tej samej chwili, o kilka metrów w bok odemnie, strzelił w spodnią płytę załupy duży pocisk i eksplodował, a jeden z odłamków uderzył mię w kolano, w sam nerw. Byłem na kilka godzin nie do użycia. Postanowiliśmy więc na dziś dać spokój i zejść do schroniska. Kulejąc na maliniakach, dochodziłem do przekonania, że jednak Dolomity nie są znów tak małemi górami...

Na drugi dzień wyszliśmy o świcie. Słońce jeszcze nie wyszło z za Selli, gdyśmy byli u początku komina. Było cicho zupełnie. Gładko minęliśmy pierwsze piętra. W tem... a psiakrew! znowu się zaczyna! Wyszukujemy jakieś schronienie. Po chwili pokazuje się, że tym jednak razem kamienie gwizdały tylko, spadając na zewnątrz komina. Nas chroniły przewieszki wcale dobrze. Wkrótce usłyszeliśmy nad sobą głosy. A więc jednak ludzie. Głosy przybliżały się, schodzą więc. Doszedłszy do dużej niszy, postanowiliśmy zaczekać, gdyż powyżej bloku bylibyśmy już narażeni. Po jakiejś godzinie spuszcza się dwu młodych Włochów, mówiących po niemiecku jeszcze gorzej od nas. Z trudem porozumiewamy się. Biwakowali w kominie, zmarzli okropnie i dopiero późno odtajali na tyle by módz schodzić; teraz proszą byśmy jeszcze poczekali aż zejdą na piargi. Wobec tego musimy znowu stać przez godzinę. Słońce nie dochodzi w głąb komina więc jest chłodno, powoli kostniejemy. Wreszcie słychać z dołu wołania, Włosi są już poza linją strzału. Z tą chwilą skończyły się przygody i zaczęła się programowa walka z oficjalnemi trudnościami komina, zresztą bardzo pięknego i ciekawego. Jesteśmy na szczycie trochę późno a schodzimy zwykłą drogą, przy końcu już w ciemnościach. Mimoto schodzimy z uczuciem, że Alpy stoją już dla nas otworem.

Zygmunt Klemensiewicz

SIELANKI TATRZAŃSKIE

Lata 1910 i 1911 to były lata moich szaleństw taternickich. Po odebraniu pierwszych lekcyj wspinactwa i prawidłowego chodzenia po górach od doświadczonych luminarzy Sekcji Turystycznej, przyszła u mnie kolej na wyłamywanie się z pod supremacji starszych i szukanie własnych sposobów sycenia się rozkoszami taternictwa. Bezwzględna ufność we własne zdrowie, wyjątkową wytrzymałość i w zdobytą dość szybko technikę wspinania, otwierała przede mną nieograniczone możliwości w obcowaniu z Tatrami, a głód nieprzeciętnych wrażeń estetycznych i emocjonujących przeżyć, stwarzał we mnie podatny grunt do przyjmowania nietylko śmiałych (na ów czas) propozycyj, ale i szalonych projektów.

W takim stanie rzeczy nawiedziła mnie faza lekceważenia najzwyklejszych przepisów i zwyczajów turystycznych; zerwałam z czekanem i ciupagą, oraz z latarką, wzgardziłam posługiwaniem się zegarkiem; przestała dla mnie istnieć nieodpowiednia pora dnia, lub niepomyślny stan pogody. I nastąpił szereg owych szaleństw. A więc: wychodzenie ze schroniska na trudne partje i wysokie szczyty, zależnie od okoliczności, o 1-szej, a nawet o 5-ej po południu; zjazd z przewieszki na Żabim Koniu o późnej wieczornej godzinie, poczem schodzenie na południową stronę nocą, przy świetle zapałek, w dodatku bez prowiantów, bez kęsa żywności na kilka godzin; zjazd po śniegu rysą w Rysach od samego szczytu o godz. 9-ej wieczorem, w butach, bez czekanów, z fatalnem obsunięciem się związanych liną i cudownem ocaleniem od tragicznego końca tego «skróconego» zejścia ze szczytu; dalej nocleg uwięzio-

nych podczas burzy w Grani Mięguszowieckiej; nocleg zaskoczonych nocą na Grani Batyżowieckiej i t. d.

W tym to okresie poznałam Romana Kordysa. Były to czasy, kiedy kobiety, wspinające się w Tatrach, liczyło się na palcach i kiedy interesowali się niemi wszyscy członkowie Sekcji. Wiedziałam, że Kordys jest asem taternictwa, ale zaimponował mi przedewszystkiem swoim olbrzymim wzrostem, potoczystością wymowy i taternicką wiedzą. Zadał mi parę pytań co do moich wycieczek, jak profesor pyta ucznia o przerobione zadanie, przyczem okazało się, że wie lepiej ode mnie, którego dnia, z kim, na jakim byłam szczycie.

Przygasłam. Odczułam swoją małość, swoje roztargnienie, brak pamięci i uwagi na rzeczy teoretyczne, swoją dziecinną zachłanność na oglądanie ze szczytów wschodu słońca, na wsłuchiwanie się w nocną ciszę górską z nogami, zwieszonemi nad urwiskiem; wstyd mi było mojej niewyćwiczonej jeszcze pamięci w nazwach, cyfrach i datach. Przyznałam się też przed nim nieśmiało do moich braków i do moich pasji.

— Wszystko można ze sobą pogodzić; — odparł wyrozumiale — ma pani wszelkie dane, aby się wszechstronnie wyrobić. Ale pani tak chodzi po górach, jakby jej nie zależało wcale na robieniu dalszych wycieczek.

Nie zrozumiałam go dobrze, więc mówił dalej ojcowskim tonem:

— Przecież, jak pani kark skręci, to skończy się pani taternictwo. A tak, jak pani chodzi, można się tego spodziewać każdego dnia, każdej godziny.

— Phi... — odparłam lekceważąco. — Cały urok chodzenia tkwi w tem właśnie, że się o to wcale nie troszczę.

Spojrzał na mnie z uwagą i zamilkł. Po chwili zapytał, pod czyją opieką przyjeżdżam na lato do Zakopanego i dowiedział się, że jestem z matką.

Niebawem wielki taternik znalazł okazję poznania mojej rodzicielki i zaraz wdał się z nią w rozmowę na temat mojej turystyki. Było to na werandzie Morskiego Oka. W jakiś czas potem matka moja została zaproszona przez Zarząd Sekcji Turystycznej na zebranie członków T. T. i tam była skazana na wysłuchanie rzeczowych przemówień Jerzego Żuławskiego i Romana Kordysa o lekkomyślności wielu taterników, o narażaniu życia swych towarzyszek, o potrzebie roztoczenia opieki nad młodemi siłami taternickiemi, które w obecnym stanie rzeczy niechybnie staną się ofiarami niewłaściwego chodzenia po górach.

Matka moja, której tolerancji i ufności we mnie zawdzięczam najpiękniejsze przeżycia w Tatrach, znalazła się w trudnem położeniu. Nie mogła czołowym taternikom odmówić słuszności, nie mogła też skłonić córki do nagłego porzucenia towarzyszy, złączonych z nią planem wakacyjnym, zawczasu ułożonym. Rozmowa jej jednak z Kordysem, do którego poczuła zaufanie, upoważniła go widocznie do dalszej nade mną opieki. Kiedy bowiem powiedziałam hardo na owem zebraniu, że nazajutrz wybieram się w góry w dotychczasowem towarzystwie, Kordys oznajmił mi z całą nieustępliwością, że już Sekcja Turystyczna zatroszczy się o to, abym miała możność zużytkować swoją energję i taternickie kwalifikacje. Oto właśnie grupa członków Sekcji wybiera się razem do Popradzkiego, a stamtąd Świerz ofiaruje się zaprowadzić mnie na szczyt Smoczy, Kordys na Solisko, a i Gyula Komarnicki chętnie zrobi ze mną znowu jakie pierwsze wejście, zaś Żuławski, ojciec moich początkowych wspinaczek skalnych, zawsze mi służyć może swoją opieką.

Dość, że następnego ranka w naszem mieszkaniu na małej werandce zjawiła się olbrzymia postać Romana, aby mnie zabrać w góry; lecz jednocześnie stanęła przed nim niewiele mniejsza postać mego towarzysza stosownie do powziętego już poprzednio planu wycieczki. Ponieważ obaj obstawali przy swojem, musiałam sama wybrnąć z trudnej sytuacji. I uparłam się przy

pójściu pierwszego dnia w dawnem towarzystwie, obiecując dojść w następnym do Popradzkiego, aby tam oddać się do dyspozycji szanownej Sekcji. Jeśli Roman ustąpił, to dlatego, iż wpływ jego był dostatecznie silny, aby mnie skłonić do dotrzymania obietnicy.

Ja zresztą miałam też pewne swoje plany w tej zmianie towarzystwa podczas samego przemarszu na drugą stronę Tatr: a nuż uda mi się ukraść jeden dzień zupełnej wolności w górach, jakiej nie mogła mieć w owych czasach młoda panienka, oddawana stale pod czyjąś turystyczną opiekę?

Jakoż po odbyciu tego dnia jednodniowej wspinaczki w okolicy Czarnego Stawu Gąsienicowego w mej dawnej kompanji, znalazłam w schronisku znajomych, którym w oczach tej ostatniej oddałam się pod opiekę na dalszą drogę do Popradzkiego, po to tylko aby potem zwolnić się od niej innym znowu wybiegiem i już niezależna od nikogo udać się na dawno wymarzony samotny nocleg w głębi Tatr.

Szukanie ścieżki w Ciemnosmreczynach i brodzenie po lasach, zastawionych wówczas oklepcami na niedźwiedzie, samotny nocleg wśród gęstej mgły w Hlińskiej Dolinie, oglądanie rozpogodzonego nad morzem mgieł wschodu słońca na Koprowej Przełęczy, kąpiel w Hińczowym Stawie... i, upojona wrażeniami, dumna ze swej odwagi, zjawiłam się wczesnym rankiem na werandzie w Popradzkiem przed oczyma spożywającej śniadanie Sekcji.

Zdumienie, grad pytań, okrzyków... Czułam się bohaterką, ...póki nie zaczął mi zadawać krótkich pytań Roman Kordys. Znowu wydałam się sobie małą, śmieszną, lekkomyślną. Uznano, że najwyższy czas by sprowadzić mnie z manowców taternickich na właściwą drogę. Misję nawracania mnie objął Roman.

Zanim jednak wprowadził w czyn prawidłowe prowadzenie mnie po graniach i ścianach, najlepszy z jego druhów popsuł powagę tych przedsięwzięć wychowawczych gorszącym przykładem. Oto właśnie tegoż dnia wieczorem zawieruszył się gdzieś w skałach ponad Doliną Złomisk Z. Klemensiewicz ze swą narzeczoną i cała Sekcja wieczorem do późnej godziny wypatrywała z niepokojem zpoza schroniska jego błyskającej woddali w powrotnej drodze latarki, omal nie wyruszywszy już naprzeciw niemu.

— Niech pani nie myśli — rzekł do mnie Roman, widząc mój ironiczny uśmiech — że takie rzeczy zdarzają się wśród nas równie często, jak u pani. To wyjątkowy wypadek!

Na dzień następny powstał projekt wspólnej wycieczki sekcyjnej na grań Smoczego Szczytu, gdzie miałam się przyjrzeć klasycznej wspinaczce największych asów. Tę turę opisał już M. Świerz w «Taterniku» 1922 r. p. t. «Niepowrotny dzień». W ów dzień pamiętny cały ten areopag wraz ze swoją nawracaną pupilką przewlekł do tego stopnia swoją wspinaczkę, że był zmuszony spędzić nocleg na gołej skale, zaskoczony mgłą i nocą tuż nad Doliną Złomisk. A przyczyną tego był nadmiernie obfity górski obiad i wynikłe z tego powodu zaburzenia żołądkowe najpoważniejszego z członków wyprawy. Teraz dopiero miałam doskonałą okazję do ironicznych przycinków pod adresem moralizującej Sekcji i mego głównego wychowawcy.

— Jakie to szczęście — mówiłam do niego — że ja już nabrałam wprawy w nocowaniu w skałach! Było mi lżej, niż systematycznym, solidnie sypiającym w schroniskach taternikom.

— To był też wyjątkowy wypadek — rzekł na to Roman, siląc się na powagę. — Jutro się poprawimy. Pójdziemy wcześniutko na grań Soliska.

I poszliśmy we troje. On, ja i Gyula K. Musiało być dość wcześnie, bo w Dolinie Młynicy świstaki z pod nóg nam wyskakiwały. Ale grań była długa, obejmująca coś osiem wierzchołków; ponadto Roman robił zdjęcia, a robił ich

dużo. Wtedy to rozwiał się mój nastrój onieśmielenia wobec wielkiego taternika, który mnie nieco przytłaczał w schronisku. Tam, na wyżynach, podczas wspólnej wspinaczki, ludzie stają się sobie dziwnie bliscy. Patrzyłam na niego z podziwem. Ta ogromna postać mężczyzny wspinała się lekko, jak dziecko, ruchy jego były zdecydowane, rzutkie, a ciche, bez nerwów, rozkrok olbrzymi, chwyt daleki, asekuracja spokojna. Z ust jego, zwiniętych w trąbkę, jakby wstrzymujących uśmiech, dobywało się nieustannie podczas wspinaczki pogwizdywanie, nawet w chwilach największych natężeń. Aparatu prawie nie wypuszczał z ręki, robiąc zdjęcia w chwilach po temu najmniej dogodnych. Szła od niego radość beztroska, wspinaczka zdawała się przy nim dziecinną igraszką, a przebywanie w górach bujaniem wolnego ptaka w przestworzach szczęśliwości. Ten wpływ jego udzielal się otoczeniu.

Nasza dluga tura dnia tego trwała jednak blisko szesnaście godzin. Wracaliśmy śród ciszy nocnej, przy świetle latarek do których zabrakło świec i moja praktyka w chodzeniu po ciemku pomogła nam w szukaniu drogi. Do schroniska, pogrążonego dawno we śnie, przybyliśmy koło północy. Czyż mogłam sobie wtedy odmówić jawnego pokpiwania z apostolstwa Sekcji Turystycznej wobec jej widocznych przewinień?

— Tak... — przyznał Roman. — Pierwsze lekcje się nie udały. Profesorowie się zbłaźnili.

Gorzej jeszcze. Pod wpływem tych faktów grzeszyłam dalej już bez skrupułów, wróciwszy do moich dawnych towarzyszy. Dopiero prowadzenie w góry słabszych od siebie nauczyło mnie rozwagi i olśniło rozumną oceną wszystkie uwagi i rady Kordysa.

Odtąd nasze koleżeństwo tatrzańskie przeszło w serdeczną zażyłość, która przetrwała lata rozłąki z Tatrami, lata wojny. Gdy po wieloletniej przerwie spotkaliśmy się znowu i Kordys przedstawił mi swoją młodziutką żonę, przyjaźń nasza odnowiła się i podwoiła. Był on moim pierwszym doradcą w sprawie wydania mej tatrzańskiej powieści dla młodzieży.

— To tak? — mówił po przeczytaniu maszynopisu. — Sama robiła pani w górach szaleństwa, a teraz to się zaleca młodzieży rozwagę? Nie istniały dla pani cyfry i daty, a teraz się wszystko systematycznie podaje w lekturze? Jak to życie ludzi zmienia!

— Widocznie nauki pana nie poszły w las — odparłam.

— A wie pani? — rzekł na to. — Ja, gdybym teraz po górach chodził, tobym nie myślał o niczem, ani o czasie, ani o żadnych zasadach, tylkobym się błąkał, gdzie oczy poniosą.

Mówił to ze smętkiem tęsknoty za czemś, co przeminęło bezpowrotnie. Nie próbował już wówczas chodzenia. Gdy zapytałam, czy za tem nie tęskni, powiedział mi, że po tyluletniej przerwie Tatry wydały mu się strasznie małe, tak pod względem obszaru, jak i wysokości, i że tęskni tylko za tem, co czuł dawniej, a czego już teraz czuć nie może.

— To też niech się pani cieszy — dokończył — tem, co pani wtedy przeżyła podczas tego lekkomyślnego chodzenia i tego igrania z życiem. Może pani miała wtedy rację, że o nic nie dbała... Życie nas i tak nie oszczędza.

Pojechaliśmy we troje saniami przez Brzeziny na Halę. Tam Romcio uczył swą żonkę jazdy na nartach; i sam próbował trochę jeździć. Byliśmy nad Czarnym Stawem. Silny wicher porwał nas, stojących nad brzegiem i zapędził het, na lód jeziora.

Kordys stał długo na tym wietrze i patrzał na góry, jak bankrut na utraconą schedę.

— Może Romcio wróci jeszcze do dawnych sił i do zapału chodzenia po górach? — szepnęła do mnie potem jego żona.

Ale nie wrócił. Był rozważnym, przewidującym taternikiem; jednakże nie przewidział złośliwych niebezpieczeństw ludzkiego losu, których najroztropniejszy turysta ziemskiej wędrówki nie jest w stanie ominąć.

Zakopane-Skibówki, w lutym 1935. JADWIGA ROGUSKA-CYBULSKA

O ROMANIE KORDYSIE JAKO CZŁOWIEKU GÓR

Trzy znamy najważniejsze momenty zwrotne w dziejach polskiego sportu wysokogórskiego: przemianę taternictwa przewodnikowego w taternictwo samodzielne i związane z tem powstanie zamkniętego klubu wysokogórskiego i fachowego piśmiennictwa taternickiego; zrozumienie tego taternictwa jako czynności sportowej i stworzenie dlań odpowiedniej ideologji; wreszcie skierowanie elity taternickiej ku odkrywczemu alpinizmowi sportowemu i egzotycznemu. Pierwszy przełom zaznaczył się ok. 1908 r., drugi ok. 1929 r., trzeci ok. 1931 r. — i we wszystkich tych trzech zmianach Roman Kordys odegrał rolę bardzo istotną, nieraz pionierską, w dużej mierze kierowniczą.

Już to stwierdzenie określa z dostateczną wyrazistością to wyjątkowe stanowisko i znaczenie, jakiem Roman Kordys zapisał się w dziejach polskiej turystyki wysokogórskiej. Działalność Kordysa przypada na czasy dla taternictwa przełomowe — ale też urabiała ona w znacznym stopniu te czasy.

Czem było taternictwo przed Kordysem? Turystyką taternicką, jak to kiedyś pozwoliłem sobie nazwać, patrzeniem na góry przez świadomość istnienia co krok urwisk niedostępnych, i efektywnem ich zdobywaniem przy pomocy wykwalifikowanego przewodnika, który — jako od dziecka zżyty z górami — znacznie mniej odczuwał ich grozę, niż przybywający ku nim na krótkie wakacje gość z miasta. Gdy Kordys, wraz ze swymi przyjaciółmi, Klemensiewiczem i Maślanką, zakładał w 1904 r. Kółko Taterników, zaczątek późniejszego Himalaja Klubu — na horyzoncie taternickim świeciły dwie gwiazdy pierwszej wielkości: Chmielowski i Englisch, a wprowadzał w góry przewodnik dra Otto. W tych warunkach sukces Kordysa i Klemensiewicza z 1905 r.: samodzielne, odkrywcze przejście grani od Kościelca po Zawratową Turnię — stał się odrazu symptomem nowych czasów, wtargnięciem ducha samodzielności i rozszerzania skali zdobywania Tatr. Nic dziwnego, że reprezentanci tego postępu w taternictwie rychło objęli kierownictwo jedynej wówczas polskiej organizacji taternickiej, t. j. Sekcji Turystycznej T. T., i że nadali jej kierunek pracy zgodny z własną linją ideologiczną (por. «Taternika» XIX, 109).

Osobne zestawienie w niniejszym zesz. «Taternika» rejestruje pieczołowicie efektywny dorobek wysokogórski Kordysa, nie będę go tu zatem powtarzać. Na Widłach i Niebieskiej Turni, na Hrubej Turni i Igle w Wysokiej zapisywał Kordys swoje pierwsze wejścia na dziewicze turnie tatrzańskie, których liczba szybko już wówczas topniała. Na Batyżowieckiej i Jaworowej, na Hrubej i na Żółtej Grani — dodawał do tego swe śmiałe zdobycze dziewiczych jeszcze wówczas grani. Zaledwie drugim był na Grani Soliska i Smoczej Grani, pierwszy przeszedł z Baranich Rogów na Lodowy Szczyt, pierwszy pokonał obie granie Żabiego Konia — jasno widzimy z tego wyliczenia, że Kordys działał jeszcze w pełni w tym okresie, w którym przechodzenie grani tatrzańskich było głównym celem wycieczek. Ale w późniejszych wyprawach dał znowu dowód, że punkt ciężkości zaczął się już przesuwać ku ścianom. W tym względzie pokonanie północnych ścian Mnicha i Wysokiej, a wreszcie północnej ściany Jaworowego Szczytu częściowo nową drogą, stało się takim samym punktem zwrotnym jak przebycie Hrubej czy Batyżowieckiej Grani.

Może niemniej ważną rolę odegrał również Kordys w rozwoju narciarstwa polskiego. Przed jego wystąpieniem narciarstwo polskie w Tatrach nieomal nie istniało: te wycieczki, które do zimy 1906/7 r. w Tatrach odbywano, posługiwały

się nartami tylko w podrzędnej mierze. Kordys, związany ze środowiskiem wschodnio-małopolskiem, gdzie narciarstwo krzewili już od blisko dziesięciu lat Schnaider, Piasecki, T. Smoluchowski i i., i gdzie niejeden wysoki wierch karpacki uległ już zimą uzbrojonemu w narty turyście, przeniósł swój rozmach narciarski ze Lwowa do Tatr, i wraz z Karłowiczem i Zaruskim zapoczątkował najlepszy okres narciarskiego taternictwa odkrywczego. Dość rychło się zeń wycofał, uprawiał właściwie czynne narciarstwo taternickie tylko trzy sezony, ale wyniki jego działalności pozostały trwałe: w terenie, w organizacjach (założenie Karpackiego Towarzystwa Narciarzy), w pracy popularyzacyjnej i historycznej... Bliższe szczegóły podaję zresztą na ten temat w «Początkach taternictwa zimowego» («Wierchy», XII, 40—44).

Działalność skalna i narciarska to było wiele, ale to nie było wszystko. Gdy wojna przerwała rytm wypraw Kordysa, po latach nie zdołał już tego rytmu odzyskać. Podczas gdy jego wierny towarzysz, Klemensiewicz, wyruszył spowrotem w granitowe urwiska, Kordys ograniczył się do prac historycznych i ideologicznych. Już zresztą przed wojną jego praca na stanowisku nominalnie współredaktora a faktycznie redaktora «Taternika», i związane z tem jego wypowiedzi programowe, wywalczyły mu naczelne stanowisko w jego pokoleniu. Z tem większą energją jął się obecnie twórczej pracy pisarskiej.

Powiedzmy krótko: jeżeli prawdą jest, że powojenne taternictwo doszło samodzielnie do programu wyjścia poza Tatry, prawdą jest również, że znakiem, pod którem to nastąpiło, były słowa nie kogo innego jeno Kordysa o owej przyszłości taternictwa, która leży poza Tatrami. I powiedzmy też krótko, że jeżeli nie może być sporu o prawo własności powojennej sportowej ideologji taternictwa, to jednak decydującą rolę wskazania drogi odegrały tu znowu słowa Kordysa, iż taternictwo rodzi się w biologicznej potrzebie człowieka wysilania się do ostatka.

I zanotujmy jeszcze jedno: że jeżeli posiadamy dzisiaj ustalony pogląd na najdawniejsze dzieje turystyki tatrzańskiej i na późniejszy ich bieg aż do wystąpienia Chmielowskiego — to jest to znowu zasługa Kordysa, którego trafne i pionierskie badania stały się ostatniem słowem w wielu wątpliwych i pozornie niedorozwikłania wypadkach.

Roman Kordys był zdecydowaną wolą i pierwszorzędnym intelektem. Stąd wybitne i niezmiernie wpływowe stanowisko, jakie zajmował w głównych organizacjach turystyki górskiej, od Sekcji Turystycznej aż po centralę PTT. Piętno indywidualności Kordysa nosi na sobie niejeden czyn PTT z tamtych lat, choćby tak ważna dla struktury PTT jego reorganizacja wewnętrzna i przekształcenie się w związek Oddziałów terytorjalnych z całej Polski, o co Kordys zabiegał już od 1908 r. A w Sekcji Turystycznej pełnił Kordys charakterystyczną i wiele mówiącą rolę «reżysera» conajmniej do roku 1930.

Skondensowany i zwięzły dorobek Kordysa, związany ściśle z jego działalnością, też wykazuje poziom wyjątkowy. Już samo zestawienie tematów, wziętych przez Kordysa na warsztat, orjentuje w rozpiętości skali jego zainteresowań. A w każdym z poruszonych przez siebie tematów umiał Kordys powiedzieć rzeczy równie nowe jak ważne, niejednokrotnie wyczerpując zagadnienie do końca. Czy to będą studja o tatrzańskich wędrówkach pionierów, czy likwidacja fałszerstw Englischa, czy wnikliwa analiza problemów trudności skalnych lub techniczne rozprawki na temat posługiwania się liną wzgl. nartami (broszura Kordysa o używaniu nart była pierwszym polskim nowoczesnym podręcznikiem narciarskim!), czy wiele innych tematów praktycznych i teoretycznych — w każdym wypadku torował Kordys nowe drogi wiedzy o Tatrach i turystyce tatrzańskiej.

Ku końcowi życia rozeszły się drogi Kordysa i jego wysokogórskich przyjaciół. Rozeszły się i skrzyżowały ze sobą. Ale nawet wówczas żelazna energja Kordysa potrafiła odegrać rolę niemałą i przodującą: w znanych walkach o ochronę

przyrody Tatr i o kolejkę na Kasprowy, Kordys był tym, który przez czas dłuższy kierował całą kampanją przeciw ochroniarzom, niewyczerpany w pomysłach i w agresywności. Los oszczędził mu dożycia skutków tego swego ostatniego zwycięstwa. Dzisiejszy taternik nie zapomni o roli, jaką Kordys odegrał w dziejach udostępniania Tatr temu właśnie demosowi, dla którego żywił pogardę — ale znajdzie dla niej głęboko tragiczne wytłumaczenie, a równocześnie stwierdzi, że fakty tych lat w niczem nie są zdolne zaćmić i osłabić tych niezmiernych zasług, które Kordys w służbie dla taternictwa i alpinizmu kładł przez długie lata poprzedzające schyłek życia.

Teraz Kordys nie żyje. Tyle już razy mieliśmy sposobność, żegnając ludzi gór, podkreślać ową namiętność umiłowania gór, którą się odznaczali, i która stała się dominantą całego ich życia. Ale rzadko kiedy było to stwierdzenie tak ścisłą i dosłowną prawdą, jak w odniesieniu do Romana Kordysa. Oddał on swoje wielkie walory duchowe i fizyczne bez reszty niemal na usługi umiłowanej idei i umiłowanych skalnych tworów przyrody. Jego pierwsze prace były taternickie, drukowane w «Taterniku». I ostatni artykuł, pod którym słabnącą już ręką położył swój podpis, poświęcony był próbie syntezy polskiego alpinizmu i apologji jego współczesnych zdobyczy. Pisał: «W... poczuciu swej wspaniałej przyszłości — roi już dziś alpinizm polski wspaniałe sny o Himalajach... Te polskie sny o potędze są — trzeba otwarcie powiedzieć — najzupełniej usprawiedliwione...» Do tej wiary w alpinizm polski miał prawo dojść przedewszystkiem Roman Kordys, który w rozwoju tego alpinizmu odegrał tak znamienną rolę. J. A. Szczepański

ZESTAWIENIE WAŻNIEJSZYCH WYPRAW I PISM GÓRSKICH ROMANA KORDYSA

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ N. D.

W zestawieniu, ogłaszanem poniżej, podajemy dokładny, w topograficznym porządku ułożony, spis wejść górskich — zarówno letnich, jak zimowych, zarówno nowych dróg jak wybitniejszych powtórzeń — odbytych przez Romana Kordysa w terenie tatrzańskim, jak również podajemy wykaz jego ważniejszych (odkrywczo-zimowych) wypraw karpackich oraz wejść, dokonanych w Alpach. Następnie podajemy część bibljograficzną, a to najpierw zestawienie znanych nam opisów i notatek z wycieczek (które zapomocą odsyłaczów wiążemy z odpowiadającemi im faktycznie wycieczkami), a następnie zestawienie głównych prac Kordysa z zakresu historji i ideologji taternictwa.

A. KARPATY.

Roman Kordys już jako chłopiec 6-letni zwiedzał po raz pierwszy skały w Bubniskach (1891). Później, od 1902 r., rozpoczął systematyczne zwiedzanie Karpat Wschodnich. Mieszkając przez większą część życia we Lwowie, z natury rzeczy musiał właśnie Karpaty Wschodnie wziąć pod szczególną uwagę. Jako pionier turystyki górskiej w tych terenach położył też niezmierne zasługi. W lecie chodził tam niezbyt wiele, poznał jednak w lipcu 1902 r. Gorgany (Sewula, Chomiak)[1], a w sierpniu t. r. także Czarnohorę (Howerla). Pozatem poznał również Pieniny (1904) i z wielkim zapałem uprawiał niejednokrotnie ćwiczenia skalne w Bubniskach, gdzie zdobył wiele igieł i dokonał wielu przejść o charakterze wspinackim (zwłaszcza w latach 1909 i 1911)[2].

Ogromne i przełomowe znaczenie miały jednak w Karpatach Wschodnich jego wyprawy zimowe. Były to przeważnie wyprawy odkrywcze, pierwsze wejścia i przejścia zimowe. Do bogatej listy tych zdobyczy, która wykazuje pokaźną liczbę wejść narciarskich na takie wierchy jak Ilsa, Trościan (12 razy!), Stoh, góry nad Sławskiem, Howerla i Pietros w Czarnohorze i i. — wyjmujemy kilka głównych pozycyj (w nawiasie: nazwiska towarzyszów):

Wysoki Wierch (1245 m), Zielony Wierch (1204 m), I w. z., 10-go marca 1907 r. (Z. Klemensiewicz)[3].

Czarnohorzec (1402 m), I w. z., 19 lutego 1906 r. (M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[4].

Doboszanka (1756 m), I w. z., 20 lutego 1906 r. (M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[4].

Bratkowska (1792 m), I w. z., 16 kwietnia 1908 r. (M. Dudryk i Z. Klemensiewicz)[4].

Pasmo Świdowca od Bliźnicy (1883 m) po Przełęcz Okole (1203 m), I prz. z., 15 kwietnia 1908 r. (M. Dudryk i Z. Klemensiewicz).

Pop Iwan Marmaroski (1940 m), I w. z., 20 kwietnia 1911 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka).

Żerban (1765 m), I w. z., 21 kwietnia 1911 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka).

Łańcuch Karpat Wschodnich od Sławska do Jasinia, częściowo I w. z., 22—26 lutego 1913 r. (A. Czeżowski, M. Dudryk, Z. Klemensiewicz, J. Maślanka i Z. Rittersschild).

B. TATRY LETNIE.

Gąsienicowa Turnia. I znane w. (od pd.), 1 sierpnia 1907 r. (S. Wieniewska i Z. Klemensiewicz).

Niebieska Turnia. I w. (od pn.) i I prz. ku Gąsienicowej Turni, 19 sierpnia 1907 r. (Z. Kordysówna i Z. Klemensiewicz)[5]. Warjant w w. od pn., 22 sierpnia 1908 r. (M. Bialkowski, C. Gałuszka, J. i T. Janikowscy i M. Zaruski)[6].

Zawratowa Turnia. I w. pn. granią, 5 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz)[1].

Mylna Przełęcz. I w. od pd.-wsch. na pd. siodło, 14 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz). I w. od wsch. na pn. siodło, 11 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[8].

Zadni Kościelec. I w., 5 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz)[1]. II w., 11 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[8].

Kościelec. I prz. na Zawratową Turnię, 5 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz). I prz. w w. pd. grani, 11 lipca 1906 r. (Z. Kemensiewicz)[8].

Kozi Wierch. II w. od Koziej Przełęczy Wyżniej, 25 lipca 1905 r. (Z. Klemensiewicz).

Czarne Ściany. I prz., 27 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[9].

Orle Turniczki. II w., 3 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz).

Ptak. I w., 5 lipca 1908 r. (samotnie)[10].

Mnich. I w. pd. granią na pd. wierzchołek, 22 lipca 1906 r. (samotnie). I w. pn. ścianą, 16 sierpnia 1908 r. (Gy. Komarnicki)[11]. I z. pd. granią, 16 sierpnia 1908 r. (J. Chmielowski, W. Jerominówna, Gy Komarnicki, I. Król i M. Zaruski)[12]. III w. pn. ścianą, 16 sierpnia 1909 r. (W. Jerominówna i A. Znamięcki).

Małe Solisko. I w. pn.-wsch. ścianą i I z. ku zach., 17 sierpnia 1911 r. (J. Maślanka)[13].

Grań Soliska. II prz. (III w. na Zadnią i Przednią Soliskową Turnię), 26 sierpnia 1911 r. (J. Roguska i Gy Komarnicki)[14].

Hlińska Turnia. I prz. w w. pn.-wsch. grani, 28 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka)[15].

Szczyrbski Szczyt. I ściśle w. wsch. granią i I z. ku pd.-zach., 28 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka)[16].

Hruby Wierch. II w. pd.-zach. ścianą, 29 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka).

Grań Hrubego. I całkowite prz., 29 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka)[17].

Żabia Przełęcz Wyżnia. III w. (od pd.), 19 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka).

Żabi Koń. Próba II w., 19 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka). III w., 21 sierpnia 1906 r. (ci sami). VII w. (I w. wsch. granią i I z. zach. granią), 5 sierpnia 1907 r. (ci sami)[18]. XIV? w., 9 sierpnia 1909 r. (W. Jerominówna i A. Znamięcki).

Żabia Przełęcz. III prz., 19 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[19].

Czeska Turnia. II w., 27 sierpnia 1908 r. (A. Znamięcki)[20].

Żabi Szczyt Wyżni. II z. ku pd.-wsch., 27 sierpnia 1908 r. (A. Znamięcki).

Żabia Lalka. II w., 15 sierpnia 1908 r. (W. Jerominówna, J. Chmielowski, Gy. Komarnicki, I. Król, S. Porębski, W. Rybiński, J. Wiśniewski i M. Zaruski)[12].

Igła w Żabiem. I w., 18 sierpnia 1908 r. (M. Bialkowski, W. Boldireff, J. Chmielowski, W. Jerominówna, Gy. Komarnicki i J. Nowicki)[12].

Czeski Szczyt. I w. pd.-zach. granią, 26 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka)[21].

Smocza Grań. II prz., 25 lipca 1910 r. (R. Komarnicki i J. Maślanka).

Wysoka. I w. pn. ścianą, 28 sierpnia 1908 r. (A. Znamięcki) [20]. I w. pd.-zach. żebrem 8 sierpnia 1909 r. (W. Jerominówna i A. Znamięcki) [22].

Siarkan. III w., 6 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki) [23].

Smoczy Szczyt. V w. (I z. ku zach.), 8 sierpnia 1909 r. (W. Jerominówna i A. Znamięcki) [24]. VI w. (prz. granią od Szarpanej Przełączki po Wysoką), 11 sierpnia 1909 r. (A. i K. Schielowie, z J. Marusarzem) [24].

Igła w Wysokiej. I w., 6 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki) [25]. II? w., 11 sierpnia 1909 r. (A. i K. Schielowie, z J. Marusarzem).

Ganek. W. graniami od Koziej Strażnicy, 23 sierpnia 1911 r. (W. Zakrzewski). Próba I w. wsch. ścianą, 1 sierpnia 1910 r. (J. Maślanka).

Żłobisty Szczyt. IX? w., 28 lipca 1905 r. (Z. Klemensiewicz i M. Lerski, z J. Ciaptakiem) [1]. Warjant w pd.-wsch. grani, 23 sierpnia 1911 r. (W. Zakrzewski).

Zach. Szczyt Żelaznych Wrót. V? w., 23 sierpnia 1911 r. (W. Zakrzewski).

Śnieżna Kopa. I z. ku pd.-zach. 3 lipca 1908 r. (samotnie) [26]. I w. od Galerji Śnieżnej, 23 lipca 1910 r. (J. Maślanka) [27].

Zasłonista Przełączka. I z. ku pn.-zach., 1 sierpnia 1910 r. (J. Maślanka) [28].

Zasłonista Turnia. II w., 23 lipca 1910 r. (J. Maślanka).

Żelazne Wrota. I w. na Galerję Śnieżną, 1 sierpnia 1910 r. (J. Maślanka) [28].

Wsch. Szczyt Żelaznych Wrót. III? w., 28 sierpnia 1911 r. (samotnie).

Zmarzły Szczyt. VI? w., 8 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki).

Drąg. I w. od zach., 28 sierpnia 1911 r. (samotnie) [29].

Przełączka koło Drąga Wyżnia. I w. od Przełęczy koło Drąga, 23 lipca 1910 r. (J. Maślanka).

Turnia nad Drągiem. W., 28 sierpnia 1911 r. (samotnie).

Stadłowa Przełączka. I w. od Przełączki kolo Drąga Wyżniej, 23 lipca 1910 r. (J. Maślanka) [30].

Przełączka pod Małą Kończystą. I w. od Stadlowej Przełączki i I z. ku zach., 23 lipca 1910 r. (J. Maślanka) [30].

Mała Kończysta. II w. wsch. ścianą, 2 sierpnia 1910 r. (J. Maślanka) [30].

Stwolska Przełęcz. I w. od Przełęczy kolo Drąga, 2 sierpnia 1910 r. (J. Maślanka) [30].

Kaczy Szczyt. II w. (I w. zach. i I z. wsch. granią), 8 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki) [31].

Batyżowiecki Szczyt. III w. na zach. wierzchołek (I w. od pn.), 18 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka) [32].

Batyżowiecka Grań. I prz.. 8 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki) [31].

Hruba Turnia. I w., 17 lipca 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka) [33].

Mala Wysoka. II z. pn. granią, 9 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz i A. Znamięcki).

Staroleśna. Z. pn. ścianą, 29 lipca 1905 r. (Z. Klemensiewicz i M. Lerski z J. Ciaptakiem). Z. zach. granią, 4 września 1921 r. (Z. Klemensiewicz).

Dzika Turnia. II w.. 3 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka) [34].

Mały Jaworowy Szczyt. I w. od Rówienkowej Przełęczy Wyżniej i I z. pd. ścianą, 27 sierpnia 1905 r. (J. Maślanka).

Wielka Jaworowa Turnia, Jaworowy Róg, Skrajna Jaworowa Turnia, Żabi Jaworowy Wierch i Zielony Jaworowy Wierch. I w. i traw., 27 sierpnia 1905 r. (J. Maślanka).

Jaworowy Szczyt. II w. pn. ścianą, częściowo nowa droga 13 sierpnia 1909 r. (A. Znamięcki) [35].

Ostry Szczyt. V w., 30 lipca 1905 r. (Z. Klemensiewicz z J. Ciaptakiem) [1]. XI w. (II w. pd. ścianą), 14 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka) [36].

Wielka Zbójnicka Turnia. I w., 29 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz) [37].

Zbójnicka Ławka. I z. ku pd., 29 sierpnia 1907 r. (M. Dudryk i Z. Klemensiewicz).

Mały Lodowy Szczyt. I z. na Zbójnicką Ławkę, 29 sierpnia 1907 r. (M. Dudryk i Z. Klemensiewicz) [38].

Żółta Grań. II prz., 14 sierpnia 1909 r. (A. Znamiecki) [39].

Pośrednia Grań. IX? w. pn. ścianą, 2 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka) [40].

Wielka Kapałkowa Turnia. IV w., 2 września 1921 r. (Z. Klemensiewicz).

Lodowa Przełęcz Wyżnia. Próba I w. od pn.-zach., 2 września 1921 r. (Z. Klemensiewicz).

Śnieżny Szczyt. I w. (I w. pn.-wsch. i I z. pd.-zach. granią), 28 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz)[41].

Barani Zwornik Niżni. I w. (I w. wsch. i I z. zach. granią), 27 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz)[41].

Barani Zwornik Wyżni. I z. pn.-zach. granią, 27 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz)[41].

Mała Durna Przełęcz. I w. od pn.-zach., 14 sierpnia 1911 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[42].

Łomnica. I z. na Miedzianą Przełączkę, 15 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka). W. pn. ścianą, 14 sierpnia 1907 r. (Z. Klemensiewicz)[43].

Zach. Szczyt Wideł. II w. (I prz. grani), 15 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[44].

Widły. III w. (I z. pn.-wsch. granią), 15 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka). Próba I w. pn.-wsch. granią, 1 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[44]

Przełęcz w Widlach Wyżnia. I w. od Kiezmarskiej Przełęczy i I z. ku pn., 1 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[44]. II z. ku pn., 15 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz i J. Maślanka)[44].

Wsch. Szczyt Wideł. I w. (pd.-zach. granią), 1 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[44].

Kiezmarski Szczyt. II prz. zach. grani, 1 sierpnia 1906 r. (Z. Klemensiewicz)[44].

Papirusowa Przełączka. I w. od Przełęczy Stolarczyka, 15 sierpnia 1911 r. (M. Lerski i J. Maślanka)[45].

Modra Turnia. II w., 11 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz)[46]. I w. pn.-zach. granią, 13 sierpnia 1911 r. (J. Maślanka)[47].

Wielka Kołowa Turnia. II w., 13 sierpnia 1911 r. (J. Maślanka)[47].

Mały Kołowy Szczyt. I z. wsch. granią, 11 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz)[46].

Kopiniak. III w., 11 sierpnia 1905 r. (Z. Klemensiewicz)[46].

Czerwona Turnia. Warjant na pn.-zach. grani, 13 sierpnia 1911 r. (J. Maślanka)[47].

Kozia Turnia. I w. od pd.-wsch., 13 sierpnia 1911 r. (J. Maślanka)[48].

C. TATRY ZIMOWE.

Giewont. W. z. od Małej Łąki, 4 stycznia 1907 r.

Liljowe. I prz. z., 27 lutego 1908 r. (M. Karłowicz i M. Zaruski).

Kościelec. I w. z., 24 stycznia 1908 r. (M. Karłowicz).

Kozi Wierch. Próba I w. z. (od pn.), 2 stycznia 1907 r. (M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i S. Pręgowski).

Żółta Turnia. I w. z., 15 lutego 1908 r. (M. Karłowicz).

Krzyżne i Wołoszyn. I w. z., 25 stycznia 1908 r. (M. Karłowicz).

Zawory. I prz. z., 27 lutego 1908 r. (M. Karłowicz i M. Zaruski).

Mnich. Próba I w. z., 8 stycznia 1907 r. (M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i S. Pręgowski).

Koprowa Przełęcz. I prz. z., 27 lutego 1908 r. (M. Karłowicz i M. Zaruski).

Koprowy Wierch. W. z., 25 marca 1912 r. (J. Maślanka).

Skrajna Baszta. V w. z., 28 lutego 1908 r. (M. Zaruski).

Mała Baszta. III w. z., 30 marca 1912 r. (J. Maślanka).

Szatan. IV? w. z., 30 marca 1912 r. (J. Maślanka).

Wysoka. Próba w. z., 24 marca 1912 r. (J. Maślanka).

Kończysta i Tępa. W. z., 26 marca 1912 r. (J. Maślanka).

Polski Grzebień. Prz. z., 1 marca 1908 r. (M. Zaruski).

D. ALPY.

Po raz pierwszy bawił Kordys w Alpach w Dolomitach, w lecie 1908 r. Zwiedził wówczas, wraz z Z. Klemensiewiczem, Fermedaturm (24 lipca), Kumedel i Gran Odla (25 lipca), Zahnkofel (27 lipca) i Langkofel (28 lipca) — wraz z Z. Klemensiewiczem i J. Maślanką Fünffingerspitze (Schmittkamin, Daumenschartenweg; 1 sierpnia), — wraz z J. Maślanką Dent de Mesdi (4 sierpnia) i Murfraitspitze (III wejście; 5 sierpnia). Ponownie przebywał Kordys w Alpach w lecie 1912 r., tym razem w Alpach Walijskich. Wraz z braćmi Czeżowskimi, J. Maślanką i T. Smoluchowskim zwiedził wówczas Tödi i Ochsenstock (6 sierp-

nia), Tossenhorn (11 sierpnia) i wreszcie Monte Rosa (15 sierpnia)[40]. Wreszcie w 1913 r. po raz trzeci znalazł się Kordys latem w Alpach, a to znowu w Alpach Wschodnich (Alpy Sarntalskie, Dolomity, Ortler, Texel, Alpy Münstertalskie), gdzie głównie z J. Maślanką a częściowo samotnie zwiedził Ritterhorn (19 lipca), Kassianspitze-Plankenhorn-Gaishorn (20 lipca), Töblinger Knoten (1 sierpnia), Grosse Zinne (2 sierpnia), Altensteinspitze (3 sierpnia), Zwölferkofel (przez Eisrinne; 4 sierpnia), Crivola (pd. ścianą; 7 sierpnia), Forcella del Campanile-Forcella Montanaia (8 sierpnia), Madritschspitze-Butzenspitze-Eisseespitze (13 sierpnia), Eisseespitze (na nartach; 14 sierpnia), Euringerspitze (pd. ścianą; 31 sierpnia), Roteck-Texelspitze-Blaulachenspitze (7 września), Lodner (8 września), Schlern (28 września), Römspitze-Piz Cristaunes (19 października), Piz Sesvenna-Piz Forratrida-Fernerspitze-Follerkopf (20 października), Rotwand-Tischenwarte (30 listopada), nakoniec Ravenstein (8 grudnia).

Pozatem bawił jeszcze Kordys w Alpach Wschodnich w zimie 1914 r., dokonując dwukrotnych wejść narciarskich na Ritterhorn i Monte Ronen, oraz wejścia na Marlochspitze (26 lutego).

E. WSPOMNIENIA I OPISY DRÓG.

1) Pierwsze kroki. — *Tat.* XII. 99—112.
2) Wspinaczki w Bubniskach. — *Wierchy.* VI. 80—88.
3) Jak «odkryliśmy» Sławsko? — *Wierchy.* I. 203—207.
4) Przez siedm gór i przez siedm dolin — na nartach. — *Wierchy.* VII. 95—124.
5) Pierwsze wyjście na Niebieską Turnię. — *Tat.* I. 107—108.
6) Niebieska Turnia drogą częściowo nową. — *Tat.* II. 90—91.
8) Kościelec od Zmarzłego Stawu pod Zawratem. — *Pam. TT.* XXVIII. 1—2.
9) Granią z Koziego Wierchu ku Granatom. — *Tat.* I. 43—44.
10) Ptak nad Krzyżnem. — *Tat.* II. 114—115.
11) Mnich północną ścianą. — *Tat.* II. 118—119.
12) Nowe wycieczki w okolicy Morskiego Oka. — *Tat.* III. 92—93.
13) Małe Solisko. —*Tat.* VI. 18—19.
14) Solisko. — *Tat.* V. 85—86.
15) Hlińska Turnia. — *Tat.* V. 49—50.
16) Szczyrbski Szczyt. — *Tat.* V. 50—51.
17) Hruby. — *Tat* V. 35—38.
18) Pierwsze trawersowanie Żabiego Konia od dolnej po Górną Żabią Przełęcz. — *Tat.* II. 51.
19) Żabia Przełęcz (około 2.260 m). — *Pam. TT.* XXVIII. 4.
20) Wysoka od Czeskiego. — *Tat.* II. 106—113.
21) Czeski Szczyt. — *Tat.* V. 13.
22) Wysoka. — *Tat.* IV. 20.
23) Siarkan. — *Tat.* III. 93—94.
24) Smoczy Szczyt. — *Tat.* IV. 20—21.
25) Igła w Wysokiej. — *Tat.* II. 53.
26) Śnieżna Kopa Żelaznych Wrót. — *Tat.* III. 118.
27) Wschodni Szczyt Śnieżnej Kopy. — *Tat.* IV. 133.
28) Wschodnie Żelazne Wrota. — *Tat.* IV. 132—133.
29) Drąg. — *Tat.* VI. 66.
30) Mała Kończysta. — *Tat.* IV. 133—134 oraz VI. 66—67.
31) Pierwsze przejście Batyżowieckiej Grani. — *Tat.* II. 70—71.
32) Batyżowiecki szczyt od północy. — *Pam. TT.* XXVIII. 2—4.
33) Pierwsze wyjście na Hrubą Turnię. — *Tat.* I. 27—28.
34) Dzika Turnia (2378 m). — *Pam. TT.* XXVIII. 5.
35) Jaworowy Szczyt. — *Tat.* IV. 21—22. — Ściana, której zapomnieć nie mogę. — *Tat.* XVI. 1—3.
36) Ostry szczyt od południa. — *Pam. TT.* XXVIII. 7—8. — Południowa ściana Ostrego Szczytu. — *Tat.* IV. 64—69.
37) Najwyższa ze Zbójnickich Turni. — *Tat.* II. 72.
38) Zejście poł.-zach. ścianą Małego Lodowego. — *Tat.* II. 71.
39) Żółty Szczyt-Pośrednia Grań-Żółta Ściana. — *Tat.* IV. 22.
40) Pośrednia Grań od północy. — *Pam. TT.* XXVIII. 5—6.
41) Pierwsze przejście granią z Baranich Rogów przez Śnieżną Przełęcz i Śnieżny Szczyt na Lodowy. — *Tat.* II. 53—54.
42) Mały Durny. — *Tat.* VI. 34.
43) Północną ścianą Łomnicy. — *Tat.* II. 61—65.



24. VII. 1908. Fot. Z. Klemensiewicz

R. KORDYS NA ŚCIANIE FERMEDATURM



1. VIII. 1908. Fot. Z. Klemensiewicz

FÜNFFINGERSPITZE OD POŁUDNIA

44) Ze wspomnień o Widłach. — *Pam. TT.* XXIX. 87—99.
45) Czarny Szczyt. — *Tat.* V. 107.
46) Kolowy. — *Tat.* IV. 88—89.
47) Kolowa Przełęcz-Wielka Kolowa Turnia-Kolowy Szczyt. — *Tat.* VII. 33—35.
48) Kozia Turnia. — *Tat.* V. 89.
49) Wycieczka na Monte Rosa. — *Sport* (Lwów) 1922. Nr. 19—21.

F. PRACE Z ZAKRESU TEORJI, HISTORJI I IDEOLOGJI TATERNICTWA.

1. Kto pierwszy przeszedł Żabią Przełęcz? — *Tat.* I. 4—6.
2. Mistyfikacye w taternictwie. — *Tat.* I. 97—106.
3. Narty i ich użycie. — Lwów 1908. Nakład Karpackiego Towarzystwa Narciarzy.
4. Karłowicz jako taternik. — *Tat.* III. 22—29.
5. Rozwój narciarstwa polskiego. — *Tat.* III. 51—58 i 110—115.
6. Wskazówki o linie. — *Tat.* III. 87—92.
7. O trudnościach wycieczek górskich. — *Tat.* IV. 26—32.
8. Na marginesie dyskusji o trudnościach. — *Tat.* IV. 58—63.
9. Materjały do dziejów Tatr i taternictwa. — *Tat.* IV. 63—69 i VI. 24—31.
10. Pomiary niektórych wzniesień w Tatrach. — *Tat.* V. 67—70 i XII. 70—71.
11. O cele taternictwa. — *Tat.* VII. 68—71.
12. Reforma Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. — *Wierchy* I. 245—250.
13. Początki narciarstwa polskiego. — *Narciarstwo Polskie.* I. 16—32.
14. O tatrzańskie itinerarjum Staszica. — *Tat.* XII. 54—61 i XVI. 58—60.
15. Taternictwo wczoraj, dziś i jutro. — *Tat.* XIII. 50—59.
16. Czy Frölich był na Łomnicy? — *Tat.* XIV. 93—104.
17. Przedstawnicy turystyki polskiej. Wiek XVI i XVII. — *Słońce* (Warszawa), 1930, Nr. 1.
18. † Wiesław Stanisławski. — *I. K. C.* (Kraków) Nr: z 18. VIII. 1933.
19. Mieczysław Karłowicz, jako taternik. — *I. K. C.* (Kraków) Nr. z 5. II. 1934.
20. Polacy i alpinizm. — *I. K. C.* (Kraków) Nr. z 25. VIII. 1934.
21 Fatalistyczna data w taternictwie. — *I. K. C.* (Kraków). Nr. z 8. IX. 1934.

Ponadto wielka ilość recenzyj, sprawozdań i t. p.

Uchwała interpretacyjna do § 2 c) statutu.
Zjazd Delegatów stwierdza, że przez „rozwój turystyki górskiej", jako jednego z celów T. T. należy rozumieć także popieranie eksploracji alpinistycznej poza Tatrami.

Roman Kordys
H. C. S.T.T.T.
K. T. N.

Notatka znaleziona w papierach Kordysa

UWAGI O ORGANIZACJI WYPRAW W NAJWYŻSZE GÓRY ŚWIATA

W artykule w «Taterniku» XX, 117—120, postawiłem tezę obrania K_2, tej drugiej po Evereście góry na kuli ziemskiej, za najbliższy, wielki cel polskiego alpinizmu. Chcąc jednak oświetlić bardziej wyczerpująco poruszony temat, muszę skolei zająć się postawionem w tytule niniejszego artykułu zagadnieniem, które nb. nie jest jeszcze u nas zbyt dobrze znane, a z którem powinno się zapoznać całe czynne polskie środowisko wysokogórskie. Ono przecież da w przyszłości ze swego grona uczestników wypraw w góry najwyższe.

Wyprawa tego rodzaju, o jakiej mówię, składa się z całego szeregu elementów, których znaczenie urastało w miarę zdobywania doświadczeń dotychczasowych wypraw — zwłaszcza wypraw w góry najwyższe. Wnioski z tych doświadczeń (a obok doświadczeń angielskich, czy niemieckich, nie mogę też pominąć i polskich) formułuję w kolejnem omówieniu poszczególnych elementów, z których urasta to, z czego składa się wyprawa w góry najwyższe.

TRENING GÓRSKI.

Mówi się dużo — i słusznie — o potrzebie treningu przed wielką wyprawą. Trening możnaby podzielić na wstępny i właściwy.

Wstępnym — może być przed wyprawą w Karakorum każda poważna wyprawa lodowo-skalna. Teren (Alpy, Tatry w zimie czy Kaukaz) nie gra tu zasadniczej roli, byle były spełnione następujące warunki:

1) Wyprawa musi być długotrwała (między kolejnemi powrotami do cywilizacji np. 2 tygodnie).

2) Wyprawa musi działać w terenie bez względu na pogodę.

3) Na każdym kroku musi być ćwiczone działanie zespołowe (a więc te cnoty, których najbardziej brak Sarmatom).

Trening właściwy powinien się odbyć na górach zbliżonych dostatecznie do teatru działań wyprawy głównej pod względem wysokości, klimatu i form terenu. W tym treningu wpinacz nabiera doświadczenia, niezbędnego do skutecznego wykonania postawionego mu potem zadania. Karakorum ma tak wiele cech oryginalnych, że trening do wyprawy zdobywczej w tamte góry powinien się odbyć właśnie w Karakorum. Posłużyłoby to i kierownictwu wyprawy dla zebrania doświadczeń w montowaniu karawany i transportów, i dałoby podstawę do ułożenia planu ataku.

Nie potrzeba dodawać, że zarówno trening wstępny jak i właściwy powinien być wykorzystany dla eliminacji wspinaczy.

WYPRAWA PRZYGOTOWAWCZA I WŁAŚCIWA.

Jakąkolwiek wielką i nieznaną górę chcielibyśmy zdobyć, musimy być przygotowani na dwie conajmniej wyprawy: przygotowawczą i właściwą. O pierwszej, która jest równocześnie treningiem i wywiadem, miałem już sposobność wspomnieć. Co do liczebności tej wyprawy, możnaby ją ograniczyć do kierownictwa (które powinno pozostać w tem samem ręku na wyprawie właściwej) i tych wspinaczy, którzy są przewidziani jako kierownicy «trójek» (jednostek taktycznych wyprawy, opisanych dalej).

Teraz o wyprawie właściwej. Zanalizujmy te jej elementy, które nam pomogą do zestawienia wytycznych przygotowania wyprawy.

METODA OBLEGANIA GÓRY.

Dotychczasowe ataki na wielkie szczyty odbywały się wszystkie metodą starannie przygotowanego, lecz sporadycznego szturmu, dopiero w ostatniej wyprawie na Mt Everest przebija już pewna, choć słabo zaznaczona (z powodu braku wspinaczy) tendencja do ponawiania wypadów szczytowych.

Tymczasem jasne jest, że atak prowadzony dotychczasową metodą może

przynieść zwycięstwo tylko przypadkiem, mianowicie przy szczęśliwej koincydencji czasowej 3 warunków:

1) dobrej formy conajmniej 2 wspinaczy w dniu wypadu szczytowego,

2) dobrej pogody,

3) dobrego stanu podłoża (rodzaj i głębokość śniegu, olodzenie).

ad 1. — Jest to warunek najważniejszy. Niestety szanse spełnienia go maleją gwałtownie z rosnącą wysokością. Dotychczas jeszcze nie zdarzyło się, aby wspinacze, którzy przybyli kiedykolwiek do obozów wypadowych na wys. ponad 8000 m byli następnego rana wszyscy w dobrej formie.

ad 2. — Wielkie góry mają swoistą meteorologję; przebiegu pogody nie można przewidywać, nawet mając do dyspozycji komplet przyrządów i odpowiednie mapy synoptyczne. Pogodę wielkich gór cechują częste i niespodziewane zmiany (vide — doświadczenia Longland'a na Evereście w r. 1933). W tych warunkach nie można nigdy być pewnym, jaką pogodę zastanie się w dniu wypadu szczytowego, wyruszając z bazy wśród najlepszych prognostyków. Dodajmy jeszcze, że dnie niepogody w obszarze szczytowym przeważają znacznie, oraz że każda forma niepogody może udaremnić wypad: mgła, wiatr lub śniegopad. Pamiętajmy, że wspinacz na wysokości ponad 8000 m jest już u granic swej odporności fizycznej i psychicznej. Każda dodatkowa przeszkoda jest w stanie zniweczyć szczątki pozostałego rozpędu ku szczytowi i skłonić go do odwrotu.

ad. 3. — Warunki terenowe są jeszcze najmniej zmienne, ale decydują bezapelacyjnie o powodzeniu. Właśnie one (stan śniegu) uniemożliwiły trzykrotnie osiągnięcie wierzchołka Everestu, dwukrotnie spowodowały odwrót z pod Kanczendzönga. Że z olodzeniem należy się liczyć nawet na wielkich wysokościach, wskazuje doświadczenie Smythe'a na północnem zboczu Everestu na wys. ok. 8300 m.

Z powyższego wynika, że chcąc przeprowadzić atak z uzasadnionem prawdopodobieństwem zwycięstwa, należy zmienić metodę ataku, mianowicie przeprowadzić go w wielu kolejnych falach.

Gdybyśmy po wyznaczeniu i zabezpieczeniu szlaku oraz po założeniu i zaopatrzeniu łańcucha obozów posiadali dostateczną ilość wspinaczy, aby ich wysyłać w stałych odstępach czasu z bazy do obozu wypadowego, gdyby ci wspinacze podczas pobytu w obozie wypadowym (np. dwa dni) mieli zadanie wykorzystać każdą sposobność dla wypadu szczytowego, gdyby wreszcie «pogotowie» w obozie wypadowym luzowało się bez przerw (z wyjątkiem oczywiście całkowitej niepogody), to byłaby to nowa metoda «oblegania góry».

Przy tej metodzie może być wykorzystany zasadniczo każdy pomyślny zbieg okoliczności, a więc stwarza się dobre prawdopodobieństwo osiągnięcia wierzchołka. Ponawiane często wypady szczytowe, choćby nie doprowadzały do celu, przygotowują zwycięstwo przez zżywanie się ludzi ze szczytem, torowanie i znakowanie drogi, nabywanie doświadczeń, które wykorzystają następni wspinacze.

Są postulaty, które przy tej metodzie muszą być spełnione:

1) Między bazą (wzgl. bazą wysuniętą) a obozem wypadowym szlak powinien się dać przejść — choćby tylko w dół — przy każdej pogodzie i przy każdym stanie śniegu.

2) Ilość wspinaczy musi być wystarczająca dla nieprzerwanego luzowania się, przyczem trzeba brać w rachubę niezbędny okres spoczynku w bazie między dwoma kolejnemi wypadami. Ze względu na istotne znaczenie ilości wspinaczy dla powodzenia wyprawy zajmiemy się tą sprawą osobno — i to zaraz poniżej.

LICZEBNOŚĆ WSPINACZY W WYPRAWIE.

Liczebność wyprawy jest związana zarówno z wielkością (powiedzmy ściślej: z wysokością) celu, jak i z obraną metodą atakowania. Angielskie wyprawy

na Everest stwierdziły powtarzający się fakt braku zdrowych wspinaczy, gdy działania górskie dochodziły do kulminacyjnego punktu. Zdarzyło się w r. 1924, że ani jeden (z. wyjątkiem N. E. Odell'a) wspinacz idący powyżej Chang La nie był w dobrej formie. Pierwsze szturmy roku 1933 zmniejszyły rozporządzalną dla akcji liczbę wspinaczy z 12 do 5, a więc o 60%. Reszta, to chorzy lub przemęczeni.

Można (przy bardzo starannym doborze wspinaczy) przyjąć, że jeśli do akcji górskiej potrzeba według planu użyć równocześnie *n* ludzi, to ilość zabranych na wyprawę wspinaczy powinna być *2n*. Stosunek ten odnosiłby się do szczytów najwyższych [1]).

Rozporządzamy dwoma niezależnemi od siebie sposobami obliczenia wymaganej ilości wspinaczy.

I. sposób: Wychodzimy z przyjętego na podstawie danych klimatologicznych czasokresu zaopatrywania obozów. Całkowity przypuszczalny sezon dzielimy odpowiednio na dwie części, z których pierwszą przeznaczamy na przysposobienie szlaku i obozów, drugą na wypady szczytowe (obleganie góry). W rachunku uwzględniamy: a) ilość obozów pośrednich; b) ciężar ekwipunku i żywności, jaki ma być dostarczony do każdego obozu; c) ciężar żywności, która zostanie spożyta w każdym obozie w okresie zaopatrywania; d) związany z rodzajem terenu i wysokością ładunek wspinacza na każdym etapie; e) stosunek dni marszowych do dni spoczynku; f) wypośrodkowany statystycznie % dni całkowicie niepogodnych.

Po dość skomplikowanych obliczeniach dochodzimy do ustalenia ilości wspinaczy *(n)*, która jest w stanie zaopatrzyć w danym okresie czasu daną ilość obozów w wymagane ilości ładunków. Przyjąłem tutaj wspinaczy niosących ładunki. Do tego tematu wrócę jeszcze. Jeżeli wyprawa posługuje się tragarzami, to tego sposobu rachunku użyjemy do określenia ilości tragarzy, zaś ilość wspinaczy obliczymy sposobem II.

II. sposób: daje nam ilość wspinaczy potrzebną do przeprowadzenia oblężenia góry *(2n)*. Tutaj uwzględnia się: a) ilość dni pochodu z bazy do obozu wypadowego; b) ilość dni pobytu (pogotowia) w obozie wypadowym; c) ilość dni schodzenia do bazy; d) ilość dni spoczynku w bazie.

Najważniejszym czynnikiem jest w tem obliczeniu czasokres wypoczynkowy między kolejnemi wypadami tego samego wspinacza. Rzeczą fizjologów będzie podanie racjonalnych cyfr. Były zdania, że wspinacz nie może być użyty dwukrotnie w jednym sezonie do wypadu szczytowego. Myślę, że jest to słuszne tylko w wypadku przemęczenia (np. wysiłek przy niedostatecznej aklimatyzacji). Zresztą przeczą temu doświadczenia ze Smythe'm i Shipton'em, którzy po 1-tygodniowym spoczynku w bazie byli znowu «fit» do marszu w górę.

Uzyskawszy w ten sposób drugą wartość *n* wybieramy większą z nich; pomnożona przez wspomniany «spółczynnik choroby» daje nam ilość wspinaczy, którą ma zabrać wyprawa.

OKRES ZAKŁADANIA OBOZÓW.

Okres ten jest zarazem okresem aklimatyzacji wspinaczy. Metoda powszechnie przyjęta i wypróbowana polega na posuwaniu się w górę etapami i organizowaniu równocześnie tyłów. Nic nowego nie da się w tej mierze powiedzieć.

Sam sposób wykonania pracy przy zakładaniu obozów łączy się jednak z problemem tragarzy, którym się skolei zajmiemy.

Nie jest to dla mnie jeszcze problem rozwiązany pod względem korzyści osiąganych z użycia tragarzy. Nachodzą mnie wciąż wątpliwości mimo niezwy-

[1]) Dla szczytów ok. 7000 m możnaby przyjąć *1,3* n, o ile wymagane jest działanie zespołowe.

kłych wprost wyników, jakie wykazali słynni «tigers» z Darjeeling w ostatnich wyprawach himalajskich.

Wciąż jeszcze nie zmieniłem zdania, że można przeprowadzić zwycięską wyprawę na wielki szczyt bez tragarzy najemnych. Użycie ich uważam jako istotnie korzystne tylko na dolnym odcinku podejścia, do miejsca, gdzie rozpoczynają się trudności alpinistyczne i gdzie zaczyna działać wysokość.

W pierwszych wyprawach na Everest mieli Anglicy z tragarzami same zmartwienia. Na Kanczendzönga spisywali się tragarze zawsze doskonale, ale i Niemcy nie żałowali własnych pleców, dając im przykład. Pośliznięcie się tragarza spowodowało wypadek (śmierć owego tragarza i wspinacza Schallera) i przez to dłuższą przerwę w operacjach.

Pierwsza wyprawa na Nanga Parbat (r. 1932) cofnęła się spowodu odmowy tragarzy marszu w górę. (Swoją drogą nie byli to «tigers»). W ostatniej wyprawie na Nanga Parbat (r. 1934) stawali tragarze dzielnie, nawet po bohatersku. A jednak ilość ich rozporządzalna dla założenia obozu wypadowego maleje w ciągu 3 dni i na wysokościach poniżej 7000 m z początkowej 17 na 11. Z 6 wspinaczy tylko jeden czuje się w tym okresie niewyraźnie.

Ta tragiczna wyprawa jest dla mnie zagadką, zakopaną w śniegach wraz z Merkl'em, Wieland'em i Welzenbach'em. Czy ci trzej wspinacze w żaden sposób nie mogli się uratować? Dlaczego pozostali tak daleko w tyle za pędzącymi w dół Schneider'em i Aschenbrenner'em? Ci dwaj, zostawiwszy tragarzy na łaskę losu, ocalili się. Któż wie, czy tamci alpiniści nie zginęli przez czekanie na opóźnionych tragarzy w źle zaopatrzonym namiocie lub — jak *może* Wieland — wprost na szlaku?

Może w *bohaterstwie* trzech zmarłych alpinistów należy szukać najwłaściwszego wytłumaczenia tragedji.

A więc ten wielki, nieobliczalny *handicap* związany z użyciem tragarzy jest głównym powodem, który mnie skłania do zrezygnowania z ich usług.

Drugi powód jest natury całkiem utylitarnej.

Koszt wynajmu tragarzy, zaopatrzenia w ekwipunek i żywność, rośnie lawinowo z każdym tragarzem i z każdym metrem wysokości, jaki mu każemy osiągnąć. Wspinacz, chociaż go trzeba przywieźć z Europy, wypada w kalkulacji taniej i prócz tego stanowi wzmocnienie wyprawy w okresie oblegania góry, kiedy to tragarze są już bezużyteczni.

Twierdzę, że wspinacz może sam nieść ładunek, a potem jeszcze wykonać skuteczny wypad. Do wysokości 7000 m istnieją w tym kierunku własne, polskie doświadczenia. Powyżej tej wysokości (na K 2 należałoby ostatnie ładunki wynieść ok. 1200 m wyżej), decyduje mojem zdaniem wystrzeganie się przemęczeń i racjonalne włączanie dni spoczynku.

Wyobraźmy sobie wyprawę bez tragarzy wśród akcji górskiej:

Zakładanie obozów następuje powoli, dla osiągnięcia lepszej aklimatyzacji. Wspinacze noszą ładunki i odpoczywają naprzemian. Ci, którzy jako pierwsi mają wykonać wypad szczytowy (jak również wszyscy następni), mają przewidziany dłuższy okres spoczynku (może 2 tygodnie) między ostatniem dźwiganiem ciężarów i wyruszeniem z bazy do ataku.

Niema na kogo uważać, kim się trapić. Na szlaku znajdują się sami ludzie kwalifikowani technicznie i mogący dzięki temu sami brać odpowiedzialność za siebie i swe zadanie. (Korzyści z tego odprężenia nerwowego nie wolno pomijać, gdyż na wielkiej wysokości stan psychiczny liczy się conajmniej na równi ze stanem mięśnia sercowego).

Wyprawa, działająca omówioną metodą oblegania góry musi posiadać znaczną ilość wspinaczy. (Przypuszczam, że dla atakowania takiego szczytu jak K 2 ilość 24 wspinaczy, zorganizowanych w 8 trójek nie byłaby przesadną).

W tych warunkach nic, jak sądzę, nie stoi na przeszkodzie założeniu obozów przez samych wspinaczy.

OBOZY.

Bazę operacyjną zakłada się jaknajwyżej, jednak o tyle nisko, aby wyczerpany organizm mógł w niej jeszcze wypoczywać, to znaczy powracać do normy. W wypadku, kiedy między bazą i szczytem jest długi i trudny szlak (co jest najbardziej prawdopodobne), wskazane jest założenie drugiej, wysuniętej bazy, czynnej przedewszystkiem w okresie zakładania obozów. Tak uczynili Niemcy na Kanczendzönga (Adlerhorst) i na Nanga Parbat (obóz IV) oraz Anglicy na Mt Everest (Chang La).

Baza musi być urządzona wygodnie; specjalnie po to zabrany gospodarz dba o porządek i opiekuje się odpoczywającymi wspinaczami. Fachowy kucharz stara się na swój sposób zregenerować ich siły.

Naczelny lekarz wyprawy działa tutaj, zarządzając dietę, ewentualne zabiegi i kierując odpoczynkiem, wreszcie decydując o sprawności i zdatności wspinacza przed każdem wyruszeniem w górę [1]).

Radjostacja nadawczo-odbiorcza pod opieką fachowca usiluje utrzymać kontakt bazy ze światem.

Obozy pośrednie — podobne, jak je zakładamy zwykle w górach. Dwa 3-miejscowe namioty, skład ładunków i nic więcej. Tylko pamiętajmy: już z pierwszym transportem ładunków musi się znaleźć w każdym obozie trochę tlenu. Wymaga tego doświadczenie z Drexler'em, zmarłym wspinaczem z Nanga Parbat.

Obóz wypadowy — najwyższy, najzimniejszy, pogrążony w ciągłym prawie wichrze, a jednak przeznaczony na mieszkanie ludzi, którzy stamtąd będą ruszać na najwyższy wysiłek. Ustawienie jego wymaga szczególnej troskliwości, a urządzenie — tyle komfortu, ile się zmieści w dwóch małych, szturmowych namiotach. Najistotniejszą jednak rzeczą jest wysunięcie tego obozu jaknajbliżej wierzchołka. Im krótszy wypad szczytowy — tem większe szanse powodzenia; Anglicy z wyprawy na wyprawę przesuwają w górę swój obóz wypadowy na Evereście.

Do wszystkich wysokich obozów odnosi się uwaga: nie umieszczać obozów tak, by do nich trzeba było podchodzić będąc w zejściu ze szczytu. Merkl zginął w jamie lodowej na siodle grani. Nie mógł już dotrzeć do «niższego», dobrze zaopatrzonego obozu VI, do którego trzeba było wznieść się ok. 120 m poprzez turnię graniową. Żaden wyczerpany wspinacz nie potrafi dokonać tego na wielkiej wysokości.

Biwaki bez namiotów i nawet bez płachty Zdarsky'ego są możliwe, jak wiemy z doświadczenia polskich wspinaczy, nawet na wysokości 6.800 m, przy sprzyjającej pogodzie. W okrywie batystowej są zapewne nie zgubne jeszcze o wiele wyżej. Mimo, iż każda trójka musi mieć stale z sobą okrywę biwakową na wszelki wypadek, nie należy wcale włączać biwaków do normalnego planu, gdyż zbytnio wyczerpują organizm.

PODZIAŁ FUNKCYJ PODCZAS WYPRAWY.

Oprócz przyjemnych, czysto wspinackich, czy też — jak proponuję — wspinacko-tragarskich czynności, jest cały szereg innych ważnych stałych funkcyj w łonie wyprawy. Wymieniam stanowiska bez komentarzy, gdyż tłumaczą się same:

[1]) Kardynalne znaczenie dla powodzenia wyprawy przypisuję dobrze postawionej służbie zdrowia. Prócz naczelnego lekarza powinien być jeden lub dwóch lekarzy grup szturmowych, rezydujących w wysokich obozach. Znalezienie lekarzy, którzyby stanęli pod każdym względem na wysokości zadania, powinnoby być wielką troską i zadaniem Komitetu organizacyjnego wyprawy.

Kierownik wyprawy (poza wspinaczami!); szef akcji wysokogórskiej i I-szy zastępca; szef transportów i II-gi zastępca; lekarz naczelny i lekarze w wysokich obozach (poza wspinaczami); gospodarz bazy i zawiadowca prowiantu (poza wspinaczami); radjotechnik (poza wspinaczami); kucharz (poza wspinaczami); zawiadowca ekwipunku; skarbnik; kronikarz; meteorolog; topograf; główny fotograf[1]); operator filmowy[1]); ewent. personel naukowy (poza wspinaczami).

Zasadą przy podziale funkcji byłoby nie przeciążać obowiązkami wspinaczy, a w żadnym razie nie przydzielać jednemu kilku funkcyj.

TRÓJKA JEDNOSTKĄ TAKTYCZNĄ.

Zespół dwuch wspinaczy jest zbyt mały. Nie tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo i szybkość pochodu po lodowcu i śniegu, ale — i to głównie — dla nikłych szans powodzenia wypadu szczytowego. Trzeba się bowiem liczyć ze stwierdzonym faktem, że z dwóch wspinaczy w obozie wypadowym Everestu zawsze jeden albo ustawał zupełnie, albo, gorzej idąc, hamował ruchy silniejszego; samotny wspinacz nie jest w stanie pokonywać trudności znajdując się ponad 8000 m, więc następował nieuchronny odwrót.

Jeśli jako zasadniczy zespół przyjmiemy 3 wspinaczy, to w razie osłabienia jednego z nich dwaj pozostali mogą bezpiecznie kontynuować pochód w górę.

Dlatego proponuję podział wspinaczy na trójki, będące tworami stałemi w ciągu całej wyprawy.

Kierownikiem trójki powinien być stary wyga górski. Dwaj jego towarzysze — to młodzi, zdrowi, silni ludzie, chociażby z mniejszem doświadczeniem alpinistycznem.

Trójka ma stanowić zwarty, zgrany i zżyty zespół. Dla żadnego zadania nie wolno trójek dzielić ani przetasowywać ich bez istotnej potrzeby.

Trójka ma swój sprzęt marszowy i obozowy, swój dziennik i swoją tradycję. Umiejętne kierownictwo wyprawy potrafi obudzić ducha szlachetnej emulacji między trójkami.

Trójka otrzymuje zadanie i walczy o wypełnienie go — im wyżej, tem bardziej zdana na siebie.

Któraś — niewiadomo która — trójka znajdzie nad obozem wypadowym dobre warunki i stanie na wierzchołku — pierwsza.

Zauważmy, że moja metoda oblegania góry daje równe szanse triumfu wszystkim wspinaczom. Predestynowanie pewnych upatrzonych asów do wykonania przygotowanego przez innych wejścia odbiłoby się ujemnie na czynnościach wyprawy (...chyba — gdyby to była wyprawa japońska).

(«Czwórki» byłyby już za ciężkie. Kierowanie niemi utrudnione przez warunki ułatwiające tworzenie się «partyj». Dla obozowania czwórki trudno jest obmyślić dobry namiot szturmowy.

Nie. Poprzestańmy na trójce).

SZYBKOŚĆ POSUWANIA SIĘ.

Zasadą jest w górach: nie spieszyć się. Szybki pochód, uzyskany za cenę zmęczenia, jest szkodliwy nie tylko dla tych, którzy chcą np. popisać się rekordem czasu, ale — i przedewszystkiem — dla wyprawy, gdyż osobniki przemęczone wcześniej lub później zawodzą.

Jeśli w zespole (w trójce) są ludzie o różnem tempie pochodu — wtedy drażni to i popędzających i popędzanych. Trójki trzeba więc dobierać nietylko z ludzi sympatyzujących z sobą, ale i z wspinaczy mających zbliżone tempo pochodu.

[1]) Prócz tych dwuch «speców», wyposażonych należycie w odpowiedni sprzęt, każda trójka powinna posiadać mało-obrazkowy aparat fotograficzny lub wąskotaśmową kamerę filmową.

Trójka idąca powoli lecz solidarnie, zdziała więcej, niż taka, w której ktoś z ambicji gna ponad swe siły, dopingowany przykładem szybkonogich towarzyszów.

Odległość między obozami musi być tak wymierzona, aby objuczona trójka wspinająca się najwolniej przebywała etap z dostatecznym marginesem jasności dziennej na nieprzewidziane zdarzenia.

(To wszystko, co w tym rozdziale powiedziałem, nie oznacza, bym popierał obecność w wyprawie osób specjalnie wyróżniających się żółwim krokiem na większych wysokościach. Wprost przeciwnie).

Tyle o samej wyprawie. Poruszyliśmy tylko nieliczne punkty, aby zdać sobie sprawę z różnorodności problemów i problemików, jakie muszą przemyśleć i rozwiązać organizatorzy wyprawy już na długo przed wyruszeniem z kraju, gdyż oczywiście od obranego planu ogólnego i szczegółowego zależą wszystkie przygotowania, zaś od dobrego przygotowania — powodzenie wyprawy.

Teraz jeszcze kilka słów o przygotowaniach.

WYBÓR KIEROWNIKA WYPRAWY.

Dużo się o tem mówi. Wszyscy, zdaje się, zgodni są w tem, że kierownikiem wyprawy musi być człowiek o niewątpliwym i wysokim autorytecie, jak również — że jest pożądane, aby kierownik nie brał osobiście udziału w akcji górskiej.

Tutaj dodam, że autorytet kierownika musi sięgać w dziedziny: intelektualną, moralną i fachowo-górską. Wymaga się od niego nieugiętej woli, umiejętności decydowania, dysponowania i utrzymywania harmonji (tak łatwo zakłóconej przez wpływ wysokości) i radości czynu wśród załogi.

Z drugiej strony, kierownik ma być wyposażony we władzę najwyższą — jak kapitan okrętu.

DOBÓR WSPINACZY.

Wspinaczy dobiera sam kierownik wyprawy. Komitet organizacyjny, komisja lekarska, kierownicy wypraw treningowych i eliminacyjnych, dostarczają mu tylko kandydatów wraz z potrzebnemi elementami decyzji. Decyduje on sam, gdyż jest odpowiedzialny za losy wyprawy.

Spośród opinij — najważniejszą (poza lekarską) wydaje się opinja tych, którzy już zostali wybrani do udziału w wyprawie.

Wytyczne doboru uczestników są proste. Nie gra tu większej roli ani sławne w taternictwie imię, ani przynależność do jakiejś zżytej z sobą gromady, której członkowie pragnęliby czuć się w swojem towarzystwie na wyprawie.

Istotne znaczenie mają tylko kwalifikacje osobiste kandydata. Możemy te kwalifikacje podzielić na: 1) kwalifikacje fizyczne; 2) kwalifikacje psychiczne.

Kwalifikacje fizyczne obejmują: stan zdrowia, wytrzymałość na trudy, wiek, siłę, ciężar ciała, wreszcie poziom wprawy wysokogórskiej.

Kwalifikacje psychiczne zawierają wszystkie cechy charakteru, ważne dla wyprawy (np. zdolność do zgodnego współżycia, inicjatywę, zdolność do poświęceń, energję czynu, opanowanie wobec niebezpieczeństwa) oraz umiejętności fachowe — z których najważniejsze doświadczenie górskie.

ZAPRAWA FIZYCZNA.

Trudno niedoceniać racjonalnej zaprawy fizycznej przed wyprawą. Z drugiej strony nie można z tem przesadzać, aby nie przyczynić więcej szkody niż pożytku.

Nieumiejętna, «na gwałt» prowadzona zaprawa prowadzi prostą drogą do przetrenowania, a więc upośledzenia zdrowia. Rodzaj i rozmiary zaprawy po-

winni określić dla każdego wspinacza lekarze-specjaliści od medycyny sportowej. Okresowe badania konieczne.

PODZIAŁ FUNKCYJ PRZYGOTOWAWCZYCH.

Komitet organizacyjny wielkiej wyprawy jest minjaturowym rządem z wieloma resortami.

Kierownicy tych resortów, odpowiedzialni przed prezesem komitetu, powinni być wybrani spośród przyszłych członków wyprawy, co zapewni w dużym stopniu wytrwałość i skuteczność ich działalności.

Jako celowy możnaby przyjąć taki ustrój Komitetu Organizacyjnego:

1. — Prezydjum z sekretarjatem. Ogólne kierownictwo, dobór uczestników wyprawy, plan wyprawy, nadzór nad wyprawami treningowemi, korespondencja.

W skład komitetu wchodzą: a) prezes komitetu (osoba znana w społeczeństwie); b) wiceprezes (przyszły kierownik wyprawy); c) sekretarz (ma do pomocy płatne siły biurowe).

2. — Dział dyplomacji. Sprawy związane z wyjazdem zagranicę.

3. — Dział finansów. Gromadzi środki, zawiaduje funduszem wyprawy; ma do pomocy płatnego księgowca.

4. — Dział podróży. Sprawy przejazdów i przewozu bagażów.

5. — Dział ekwipunku. Obmyśla, realizuje i zakupuje sprzęt wyprawy; sortuje go i pakuje.

6. — Dział żywności. Ustala skład i ilość prowiantu; zakupuje, sortuje i pakuje żywność.

7. — Dział służby zdrowia. Organizuje służbę zdrowia wyprawy: ustala metody badań kompletuje personel lekarski, zestawia i gromadzi apteczki i sprzęt lekarski wyprawy. Przeprowadza badania eliminacyjne kandydatów na uczestników; nadzoruje zaprawę fizyczną.

8. — Dział naukowy. Ustala rodzaj i zakres badań naukowych podczas wyprawy; dobiera ewent. personel naukowy wyprawy; gromadzi sprzęt naukowy.

Zakończenia tego artykułu nie piszę. Mógłbym conajwyżej powtórzyć tutaj to, co napisałem już raz w «Taterniku». Więc niech już zostanie jak jest.

Warszawa, w lutym 1936 r. ADAM KARPIŃSKI

POLSKA WYPRAWA W ANDY 1936/7 R.

Jak już podał «Taternik», XX, 190, w dniu 26 kwietnia b. r. uchwalił Zarząd Klubu wysłanie II polskiej wyprawy alpinistycznej w Andy. Szereg przyczyn złożyło się na tę decyzję: sprzyjająca konjunktura propagandowa i finansowa, poparcie wielu czynników miarodajnych, możliwość bezpłatnego przejazdu do Buenos Aires — równie jak korzystne wyniki doświadczeń pierwszej wyprawy, oraz — przedewszystkiem — wartości, jakie Andy, najwyższe góry ziemi poza kontynentem azjatyckim, wnoszą jako cel wyprawy alpinistycznej i odkrywczej. Wartości te są tak wielkie, iż bardzo szybko zadecydowały, w obecnej konjunkturze, o podjęciu ponownej «walki o szczyty Andów».

Zaraz jednak zaznaczył się problem bliższego określenia celu tej walki. Pierwszej wyprawie cel sam się narzucał poprostu: eksploracja dwu najwyższych masywów andyjskich — Ramady i Aconcagua. Ponieważ cel ten uwieńczyło pełne powodzenie, i ponieważ nie ulegało zarazem wątpliwości, iż druga wyprawa w Andy nie może być gorsza od pierwszej ani w rozpiętości celów ani w programie eksploracji, wyłonił się odrazu kłopot, jak wyrównać pewien nieunikniony niedobór wysokości gór wyznaczonych obecnie do zdobycia,

a temsamem i niedobór — pozorny — wielkości celu. Wynikły stąd dłuższe studja orjentacyjne, z których program II wyprawy wyrósł jednak równie bezspornie jak program wyprawy pierwszej. Przedstawia on do pokonania góry niezwykle trudno dostępne, wyjątkowo ciekawe, jedne z najwyższych w Ameryce.

Wyprawa w Andy. Ale w które?

Ze względu na podstawową kalkulację finansową w rachubę mogły wejść tylko Andy argentyńskie i pogranicza chilijskiego. Odpadły więc odrazu spod rozważań potężne wulkany Wenezueli i Ekwadoru, pozbawione zresztą jakichkolwiek trudności, a temsamem i znaczenia alpinistycznego. Trzeba się też było odrazu wyrzec wspaniałych i trudnych łańcuchów Cordillera Blanca w Peru i Cordillera Real w Boliwji. Góry te, o alpejskich kształtach i silnie zalodzone, są zresztą stałym celem eksploracyjnym Niemców, którzy główne ich problemy już rozwiązali (por. «Taternika», XII, 74, XIII, 46 i XVI, 100). Szczyty, jak wiadomo, sięgają tu do 6763 m (Huascaran).

A więc Andy argentyńskie. Tworzą one kilka zasadniczych systemów górskich, o bardzo różnym charakterze i ukształtowaniu. Idąc od południa ku północy, są to:

1. Cordillera Aysen (wraz z górami Ziemi Ognistej). Są to wspaniałe gniazda granitowe (San Lorenzo 3660 m, Fitz Roy 3370 m, Agassiz 3170 m, Payne 2840 m), już o charakterze gór polarnych, o niezmiernie wilgotnym klimacie. Jedne z najtrudniej zarówno technicznie jak podróżniczo dostępnych gór na świecie, zarazem prawie nieznane. Jako cel wyprawy polskiej wykluczyła je jednak zarówno ich względnie niska wysokość jak i olbrzymie koszty ewent. eksploracji.

2. Kordyljery Patagońskie, pomiędzy Jez. Nahuel Huapi a Jez. Buenos Aires. Góry piękne krajobrazowo lecz bez większego znaczenia alpinistycznego.

3. Kordyljery Południowe, pomiędzy 34° a 44° szer. geogr. pd., sięgające 4650 m. Piękne i zalodzone stożki wulkaniczne, wśród wspaniałej przyrody, częściowo zwiedzone.

4. Kordyljery Centralne na południe od Uspallata, masywy wysokogórskie do 6560 m, cel wielu wypraw alpinistycznych, które główne szczyty już zdobyły.

5. Aconcagua, 7035 m. Por. «Taternika», XVIII, 92 n.

6. Kordyljery Centralne na północ od Aconcagua, szereg gniazd górskich z Ramadą na czele.

7. 8. 9. Masywy Kordyljerów pomiędzy Mercedario a granicą Boliwji. P. niżej.

O olbrzymim obszarze Andów od Mercedario aż po Arica w ten sposób wyraża się H. Sattler[1]): «Trotz der ungeheueren Ausdehnung von fast 1300 Kilometer ist dieser Teil der Cordillere bergsteigerisch und auch wissenschaftlich am wenigsten bekannt. Obgleich vom Mercedario nördlich kaum Gletscher zu vermuten sind, ist dieses weite Gebiet doch sicher bergsteigerisch lohnend...» A H. Hoek[2]) charakteryzuje jego góry następująco: «Die Berge... zeigen zum Teil ausgedehnte Gletscherbedeckung und Hochalpine Formen. Ihre relative Höhe ist zum Teil gewaltig, zum mindestens stets (im Osten) von etwa 3500 M aus zu rechnen. Weitere Worte sind wohl kaum nötig».

Zupełnie nieznane, wysokie grupy górskie na północ od Mercedario, o których kilka danych topograficznych przywiozła tylko wyprawa polska z 1934 r., spływają ku pn. w masywy i gniazda, obniżające się stopniowo do średniej wysokości szczy-

[1]) H. Sattler, Die bergsteigerische Erschliessung der chilenischen Grenzkordillere, *Deutsche Alpenzeitung* 1934, styczeń (por. «Taternik», XVIII, 59).

[2]) H. Hoek, «Frontera Argentino-Chilena en la Cordillera de los Andes», *Oesterreichische Alpenzeitung* 1908, Nr. 772.

tów 5000 m. Ok. 400 km biegną w ten sposób w kilku pasmach góry o kształtach dość leniwych i kopulastych, pozbawione lodowców i coraz mniej zaśnieżone. Aż zbliżają się ku Puna de Atacama (29° szer. geogr. pd.).

Tu charakter kraju się zmienia. Góry znów dźwigają się wzwyż, wyrasta szereg równoległych łańcuchów, pomiędzy które zapadają szerokie kotliny, b o l s o n y. Ponad temi nisko położonemi bolsonami wypiętrza się p u n a, olbrzymia wyżyna śródgórska, o średniej wys. 4000 m. «Unten Wüste wie in der Sahara, oben Wüste wie auf dem Hochland von Tibet, aber sie werden voneinander geschieden durch ein wildzerrissenes Gelände... Unten Staubstürme und Sandstürme, oben trockene, frostbringende Westwinde und Schneestürme. Unten sengende Hitze, oben eisige Kälte. Dazwischen kein Wald; Wüste von unten bis oben; ein Blick überfliegt alle Klimazonen von den sonnenverbrannten Tropen bis zur toten Welt des Eises» — pisze o tej, jedynej w swoim rodzaju krainie, europejski uczony i alpinista, Walther Penck [1]).

Puna de Atacama wysyła ku północy długie grzbiety górskie, zbudowane z łatwo dostępnych, olbrzymich rozmiarów piarżystych wierchów i wulkanów. Najwyższym z nich jest Llullaillaco, 6620 m. Ku górom tym już w XIX wieku wyprawiali się uczeni chilijscy jak Philippi, Pissis, Ignacy Domeyko i inni. Z ogromnej ilości szczytów zwiedzono tu jednak dotychczas tylko Ollagua 5870 m (Hans Berger, 1889), Tacora 6060 m (Hans Hoek, 1903) i Socompa 6080 m (Fritz Reichert, 1905). Spośród gór odchodzących od puny ku południowi i dzielących poszczególne bolsony, część przewyższa 6000 m, jak np. Sierra de Famatina (6250 m) lub Sierra de Aconquija (6400 m). Góry te, należące wszystkie do systemu P r e k o r d y l j e r ó w, znajdują się względnie blisko osad ludzkich i linij kolejowych, to też zostały nieco lepiej zbadane. Tu wznosi się też łańcuch gór granitowych Sierra de Fiambalá, o śmiałym zarysie ścian i grani, prawdziwe Tatry argentyńskie, przekraczające zresztą wys. 5000 m.

Wreszcie na pn. i wsch. od bolsonów przypierają do puny l o s n e v a d o s, odosobnione śnieżne gniazda skalne, jedne z najwyższych w Andach. Czy są zalodzone? Penck, *l. c.*, nazywa je stale «vergletschert». W każdym razie nawet w lecie znają opady tylko śnieżne i już od wys. 4000 m.

Frontera Argentino-Chilena, podstawowe i jedyne dzieło topograficzne tych obszarów, wymieniło w tej części pokolei następujące główne szczyty: Condor 6400 m. Sierra Grande 6080 m, Macizo Tres Cruces 6640 m, 6780 m i 6956 m, Cenizo 6246 m, el Fraile 6344 m, Incahuasi 6620 m, grupa nienazwana 6600 m, 6800 m i 6680 m. Tres Quebradas 6280 m, Jagüel 6750 m, Reclus 6300 m, Bonete 6730 m, Hombre Muerto 6400 m... Cały ów kraj był w owym czasie najzupełniej nieznany. W latach jednak 1912/3 i 1913/4 zwiedzał go Walther Penck, geolog wysłany przez rząd argentyński. Aż do dnia dzisiejszego Penck pozostał zresztą jedynym badaczem *nevados*. Tem większe znaczenie zyskała jego książka *Puna de Atacama*, wydana już po śmierci autora w 1933 r.

Wyniki podróży Pencka były rewelacyjne. Przedewszystkiem okazało się, że dane topografów amerykańskich były najzupełniej fałszywe. Ani w Tres Cruces nie wznosi się drugi szczyt amerykański, ani w Masywie Bezimiennym trzeci szczyt. Okazało się natomiast, że Tres Cruces są gniazdem górskiem o wielkiej wysokości względnej i charakterze zupełnie alpejskim, i że inny szczyt, dwuwierzchołkowy Nevado Pissis, liczy aż 6780 m.

Wyprawy Pencka przyniosły pierwszorzędne wyniki alpinistyczne. Wśród nevados zdobył Bonete 6410 m (dnia 14 stycznia 1913 r.), San Francisco 6010 m (dnia 15 grudnia 1913 r.) i Incahuasi 6640 m (dnia 20 grudnia 1913 r.), jako pierwszy badacz przekroczył też wysokie przełęcze jak Portillo 4750 m, Tres Quebradas 4870 m, los Patos 4720 m i i. W Prekordyljerach zaś osiągnął w Sierra de Famatina wysokość

[1]) W. Penck, Puna de Atacama, J. Engelhorns Nachf. Stuttgart 1933.

5800 m, a zdobył całe mnóstwo samodzielnych szczytów cztero- i pięciotysięcznych, w tem tak wybitne jak Tolar 4920 m, Morado 4730 m, Cerro Negro 4650 m, Pabellon del Rio Grande 4610 m, Falda de las Cardosas 4600 m, Palca 5350 m i w. i.

Opierając się na badaniach Pencka można więc już było ułożyć program wyprawy polskiej.

Z miasta Tinogasta w prowincji Catamarca przedostać się musi ekspedycja polska nad Laguna de Tres Quebradas (4200 m), centralnego punktu wyjścia dla atakowania niezwiedzonych i poczęści nieznanych nevados. Wchodzą tu w rachubę: od północy: Tres Cruces 6620 m («die schönste Gestalt, die ich in Amerika gesehen habe, die sich messen kann mit den individuellen Alpengipfeln, sie übertreffend an gewaltiger Masse», pisze o nich Penck), Masyw Nienazwany 6600? m i Nevado de Nacimiento 6492 m (o niem Penck: «ein monumentales Gebilde von alpinem Charakter»); od zachodu: Nevados dos Hermanos 5540 m i Nevados Tres Quebradas 6000? m (Penck: «ein wild zerrissenes Horn»), od południa wreszcie: Nevado Jagüel 6600? m oraz Nevado Pissis 6780 m. *Nevado Pissis jest bezwątpienia najwyższym z niezdobytych dotychczas przez człowieka w Ameryce i wogóle trzecim pod względem wysokości spośród szczytów amerykańskich.*

Całe otoczenie Laguna Tres Quebradas stanowi białą plamę na mapie, prócz Pencka nie obejrzał go jeszcze żaden alpinista czy też badacz. Będzie ono właściwym celem wyprawy polskiej, o ile dopuszczą do niego lokalne władze z Catamarca. Na drugim planie przewidziana jest eksploracja masywów na północ od Mercedario, nawiązująca do wyników z 1934 r.

*

Ustaliwszy zasadniczy cel wyprawy mianował Zarząd Klubu Wysokogórskiego Justyna T. Wojsznisa kierownikiem wyprawy, poruczając mu zarazem kierownictwo dalszych prac przygotowawczych, dobór uczestników wyprawy, starania o honorowy protektorat i t. p. Wszystkie te prace są w toku. W każdym razie już obecnie uzyskał Klub daleko idące poparcie dla wyprawy ze strony Wydziału Turystyki Min. Komunikacji, dyrekcji Państw. Urz. Wychow. Fizyczn. i Przyspos. Wojsk., oraz centrali PTT. Projektuje się wysłanie w teren 4—6 osób, których pełny wybór wyniknie na podstawie różnych eliminacji. Jak dotychczas zatwierdzeni zostali w charakterze uczestników wyprawy: Stefan Osiecki (przewidziany na szefa transportów) oraz Witold Paryski (opieka lekarska i zbiory zoologiczne).

J. A. Szczepański

POLSKA WYPRAWA NA SPITSBERGEN 1936 R.

Wieczorem dnia 28 czerwca b. r. odjechała z Warszawy nowa wyprawa polska na Spitsbergen, zorganizowana przez inż. Stefana Bernadzikiewicza, dr Konstantego Narkiewicza-Jodko i Stanisława Siedleckiego w rekordowo krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu 3 tygodni (!). Organizatorzy i zarazem uczestnicy nowej wyprawy polarnej zamierzają w okresie 2 miesięcy, przewidzianych na pobyt na lądzie, wykonać przemarsz na nartach poprzez całą prawie długość Zach. Wyspy Spitsbergen, zatrzymując się — celem eksploracji alpinistycznej — na dłuższy okres czasu jedynie w dwóch, projektowaną

trasą przeciętych terenach o wybitnie górskim charakterze, a mianowicie w grupie szczytu *Hornsundtind* na południu i *Gór Stubendorfa* na północy. Lądowanie — o ile warunki lodowe na to pozwolą — projektowane jest w *Hornsund*, poczem nastąpiłoby zwiedzenie grupy *Hornsundtind* z I. wejściem na ten przepiękny i dziewiczy szczyt (ok. 1200 m). Trasa zamierzonego marszu przecina mało dotąd zbadaną wsch. część wyspy, w której skoncentrują się główne zadania odkrywcze wyprawy: wstępna eksploracja geograficzna oraz w szczególności przeprowadzenie wywiadu terenu, sąsiadującego z obszarem, opracowanym przez Polską Wyprawę Polarną w 1934 r., a to celem przygotowania dalszych prac polskich w *Ziemi Torella*, zwłaszcza zaś prac topograficznych, któremi należałoby w przyszłości objąć cały jej obszar, by zakończyć w ten sposób rozpoczęte w r. 1934 polskie prace. Drugim obszarem, w którym cele alpinistyczne wysunęłyby się na pierwsze miejsce, ma być eksploracja alpinistyczno-odkrywcza *Gór Chydenius* z najwyższym z pomierzonych szczytów Spitsbergenu, *Mount Newton* (1730 m)—oraz zupełnie dotąd niezbadanych *Gór Stubendorfa*, kryjących—być może—najwyższy szczyt całego archipelagu. Inż. Bernadzikiewicz zamierza wykonać w czasie wyprawy szkice stolikowe z całej trasy przemarszu, które dałyby podstawę przyszłym, bardziej szczegółowym pracom topograficznym w nieskartowanej jeszcze wsch. części wyspy.

Oczywiście program powyższy jest programem maksymalnym i w zależności od warunków atmosferycznych i transportowych może zostać znacznie skrócony. Podkreślić przytem należy, że długość projektowanej trasy głównego przemarszu wynosi ok. 350 km, rozciąga się pomiędzy 77° *(Hornsund)* a 80° *(Przyl. Północny)* i nie była jeszcze ze względu na trudności pokonana przez żadną z dotychczasowych wypraw na Spitsbergen.

Organizatorzy wyprawy uzyskali poparcie swych zamierzeń u Klubu Wysokogórskiego, uzyskując cały prawie sprzęt alpinistyczny i polarny z podstawowym środkiem transportowym — saniami polarnemi, a sprawozdanie z wyprawy ogłoszą w jednym z zeszytów przyszłego rocznika «Taternika».

Z. Dąbrowski

WYCIECZKA NA MARUMBI [1]

Najwyższy szczyt Parany brazylijskiej, Marumbi ok. 1600 m wys., należy do łańcucha gór Serra do Mar, który przecina linja kolejowa z Paranagua do Kurytyby. Góry te, aż po linję szczytów, pokrywa dziki, tropikalny las. Partja Marumbi, widoczna od strony toru, stanowi wyjątek od ogólnej reguły. Nagie granitowe baszty i bloki skalne masywu wystrzelają ponad zbity gąszcz lasów na parusetmetrową wysokość. Nikt nie pokusił się dotąd o zdobycie Marumbi z tej strony. «Od tylu» natomiast, wejście jest zupełnie łatwe.

Z kolonji polskiej pierwszy wszedł na Marumbi ówczesny urzędnik konsulatu p. Król, następnie poeta parański Grzybczyk. My, wybraliśmy się we czwórkę w 1934 r., około połowy sierpnia, czyli na przedwiośniu parańskiem.

Wysiedliśmy na stacji kolejowej Marumbi (ok. 300 m wys.). Największa trudność czekała nas na samem dole. Chodziło naprzód o znalezienie punktu wyjścia ścieżki a następnie o ciągłe trzymanie się jej. Odszukanie takiej dro-

[1] Szczyt Marumbi był głośny wśród polskich alpinistów w 1933 r., kiedy to projektował nań wejście dr K. Narkiewicz-Jodko (por. «Taternik» XVIII 20). Sądzimy przeto, że opis zwiedzenia go może zainteresować Czytelników «Taternika» (Red.).

żyny nie należy do rzeczy łatwych. Jest to jednak konieczne, jeśli się nie ma przewodnika a przynajmniej «fakona» do cięcia drogi w lesie. (Fakon — rodzaj szerokiej szabli czy długiego noża). Przewodnik byłby pożądany ze względu na to właśnie, że blisko 6 godzin idzie się ciągle lasem, jak w tunelu, nic nie widząc i w dodatku po nieznakowanej ścieżce, którą zgubić jest niezmiernie łatwo.

Droga jest dość nużąca — wąska ścieżka pnie się nieustannie w górę, trzeba przełazić często-gęsto pod i nad drzewami, ześlizgując się czasem po błocie, lub kalecząc na subtelnych ząbkach młodych pędów bambusowatej trzciny, takuary. Gorąco trochę dokucza bo brak przewiewu — na brak wody natomiast nie można się skarżyć; zawierają jej poddostatkiem długie zielone nory tejże takuary. Po jakichś 5-ciu godzinach wychodzi się na pierwsze otwarte miejsce. Potem znowu droga wraca w las, by po dalszej godzinie wynurzyć się ponownie. Teraz rozpościera się szeroki, piękny widok — dlatego miejsce to słusznie nosi nazwę: «Boa vista». Szczyt Marumbi, widoczny z profilu, wydaje się b. odległy.

Wysoki las skończył się. Następuje teraz najbardziej «niebezpieczne» miejsce. Ścieżka wspina się mocno stromo w górę przez otwartą przestrzeń niskiego zagajnika. Na szczycie stoku niespodzianka — rodzaj hal, porosłych gęstą, wysoką trawą. Jesteśmy już na grzbiecie Marumbi. — Między nami a właściwym szczytem, który się znacznie zbliżył, rozciąga się falisty teren. Tu i ówdzie kilka kopulastych wzgórz sterczących z trawiastej hali, a wszystkie wgłębienia terenu wypełnia szczelnie zwarta masa niskich, wawrzynowatych gajów. Tu powtarza się trudność w znalezieniu ścieżki, któraby przeprowadziła nas przez labirynt owych wawrzynowatych gaików i objętych niemi hal. Odnalazłszy ją, posuwamy się szybko. Na wysokości naszych głów roi się od czerwonych orchidei, na gałęziach drzewek o lśniących, grubych listkach, tu i ówdzie mijamy olbrzymie, kolczaste agawy. Docieramy wkońcu do pięknej kotliny górskiej u podnóża szczytu, w jakie $7^1/_2$ godz. od chwili wymarszu. Szczyt — choć od naszej strony pokryty karłowatemi krzewami — wygląda tak imponująco, że odkładamy «zdobycie» go do rana.

Rozbijamy nad strumieniem namiot, zapalamy ogień i z karłowatej takuary mościmy sobie legowiska. Noc dobrze chłodna — w zapasach naszych buszuje niezmordowanie rodzaj polnego szczura— z czarującem, rajskiem wprost zaufaniem odnosi się on do ludzi.

Rano, po raz 3-ci staje przed nami problem odszukania ścieżki. Potem, wspinamy się nią, ciągle wśród krzaków. Nagle — a raczej wreszcie — ukazują się pierwsze głazy i skały. O potrzebie jednak jakiejkolwiek wspinaczki niema mowy. Ścieżka, wąziutka i stroma, przesuwa się szczelinami, pełza po krawędziach, ciągle zresztą zarosła karłowatemi chaszczami.

Dość niespodzianie — w 20, czy w 25 minut zaledwie, znajdujemy się na szczycie. Stoi na nim krzyż, pod którym już raz odprawiona została msza.

Tu dopiero dzwoni pod stopami lita, naga skała. Tu dopiero — ale po drugiej stronie, względnie przed nami — otwiera się pierwsza przepaść. Ale jest to przepaść imponująca — a przytem dziewicza, dotychczas przez nikogo niezdobyta.

Józefa Szczepańska-Niedenthal

TATERNIK DOSKONAŁY

Nie chcę pod tym śmiałym tytułem rozwijać, broń Boże — jeszcze jednego poglądu na ideologję taternicką, chcę jedynie zwrócić uwagę na momenty, warte — zdaniem mojem — podkreślenia, gdy chcemy urobić sobie sąd o prawdziwym człowieku gór. W swoim czasie znałem pewnego osobnika,

któremu taternicy nie mogli przebaczyć, że jest — wedle nich — krajoznawcą, a krajoznawcy wypominali mu, że jest taternikiem, przyczem obie strony nasycały swój sąd niechęcią, rozumując, że krajoznawca to właściwie łazik unikający trudności, włóczęga od szczytu do szczytu, od wsi do wsi, od miasta do miasteczka, a taternik to znów niezupełnie w porządku z rozumem człowiek-mucha, pobrzękujący hakami i młotkiem. Sprzeczne te sądy sprawiły, że dla owego jegomościa nie było miejsca ani wśród taterników ani wśród krajoznawców. Zacząłem zastanawiać się nad tem i doszedłem do przekonania, że dzieje mu się krzywda. Był bowiem — wedle mnie — prawdziwym taternikiem. Nie dlatego, że zrobił wiele trudnych dróg, że umiał znakomicie obchodzić się z młotkiem, hakiem i liną, że «wszystkie góry przeszeł, wszystkie przewandrował», nie dlatego wreszcie, że góry miał we krwi, kochał je i pragnął ich jak narkoman trucizny — ale dlatego, że człowiek ten był także krajoznawcą, ściślej, był góroznawcą. Łączył on w sobie elementy urodzonego wspinacza z pasją naukową krajoznawcy, naukowe podejście nienasyconego w ciekawości wędrowca po górach ze śmiałością sportowca, dla którego skała jest takim samym żywiołem, jak woda dla pływaka, a dla automobilisty zawrotne tempo prostej i oszałamiające wiraże. Z elementów wspinaczych nie czynił celu samego w sobie, ale splatał je w niezaspokojonem pragnieniu wiedzy o górach, dostarczając sobie doskonałego wyżycia się fizycznego i duchowego. Ciekawiły go potężne gry sił przyrody, dramatyczny patos geologji gór, niepohamowany rozmach i zmysłowość roślinności, wypytywał botaników i zoologów, chciwy wszystkiego, co się wiąże z życiem gór, poznawał meteorologję nietylko z komunikatów ale z rodzaju chmur i z przeróżnych zjawisk, rozczytywał się w historji Podhala i Tatr, słowem, manjak ten (bo niewątpliwie był nim), specjalizując się w górach — chciał zostać encyklopedystą. Oczywiście nie udało mu się to, jak nie udaje się nigdy być naprawdę doskonałym, ale w dążności jego ukazały mi się rysy charakteru rasowego człowieka gór. Znać góry — oto jego cel. I z jego obserwacji wysnuł mi się wniosek tak nieoczekiwany jak oczywisty, że, aby być dobrym taternikiem, trzeba znać góry ze wszystkich stron.

Wydaje się wcale nie potrzebne studjować — choćby popularnie — geologję, botanikę, zoologję, meteorologję, historję, ludoznawstwo i wiele innych dziedzin naukowych, aby być zdobywcą ściany tatrzańskiej, i rzeczywiście, żeby zdobyć ścianę czy grań nie jest to potrzebne, ale żeby znać ją, aby przeżycie zdobyczy było naprawdę wartością nie tylko sportową, trzeba aby moment fizyczny, sportowy, sharmonizował się z momentem duchowym, z rzetelną i wszechstronną wiedzą o górach.

Byłoby nierozumne domagać się, aby każdy wspinacz nagwałt uczył się florystyki, morfologji, geografji roślin, klimatologji, historji Tatr i t. d., ale z drugiej strony żądanie pogłębienia turystyki[1]), nie wydaje się żądaniem wygórowanem. Połączenie wspinacza z eksploratorem, aktualne dzisiaj w wyprawach egzotycznych, skłania się — mojem zdaniem — właśnie do pełnego typu człowieka gór.

Tych parę uwag nasunęło mi się z racji wydanego niedawno Przewodnika geograficzno-roślinnego Dra M. Sokołowskiego[2]), w którym upatruję początek

[1]) Vide moją notatkę pod tym tytułem w «Turyście w Polsce» 1935, Nr. 1.
[2]) Dr. Marjan Sokołowski: Szata roślinna Tatr Polskich, przewodnik geogra-

akcji, zmierzającej do popularyzacji wiedzy o Tatrach zapomocą przystępnych dziełek naukowych. Pierwsza z cyklu książka o szacie roślinnej Tatr jest przykładem w jaki sposób można ciekawie i bez balastu naukowego omówić dział nauki, z którym w pierwszym rzędzie winien zapoznać się każdy prawdziwy taternik. Omawiając ją ze stanowiska turystycznego, trudno nie zwrócić uwagi na umiejętnie zestawione w niej wycieczki, dzięki którym najłatwiej zapoznać się z przedstawionemi w przewodniku krainami i zbiorowiskami wegetacji tatrzańskiej. Wielu z nas, odbywszy parę spacerów w ślad za wskazówkami przyrodnika ogarnie zdumienie, jak mało znaliśmy okolice górskie, które uważaliśmy za dokładnie poznane lub zobaczenia nie warte.

Cóżby mógł jeszcze powiedzieć historyk, zoolog, meteorolog, toponomastyk i tylu innych, których popularne wykłady mogłyby złożyć się na obszerną bibljoteczkę wiedzy o górach. Poszerzajmy więc skalę zainteresowań taternika, a pozwolimy mu przeżyć wspaniałą walkę ze skałą głębiej, pełniej i poważniej.

Władysław Krygowski

PÓŁNOCNĄ ŚCIANĄ MIĘGUSZOWIECKIEGO SZCZYTU W ZIMIE

Gdy poraz pierwszy postanowiłem zaatakować północną ścianę Mięguszowieckiego Szczytu w zimie, nie spodziewałem się po niej nadzwyczajnych trudności. A w każdym razie nie spodziewałem się znaleźć takich trudności jak na pn. ścianie Małego Kiezmarskiego. Pamiętam gdy mówiłem do mego nieodłącznego prawie towarzysza wypraw zimowych, że równie wspaniałej drogi jak na Kiezmarskim nieprędko w Tatrach znajdziemy.

Fakt, że już dwie partje były w północnych urwiskach Mięguszowieckiego w zimie, zdawał się też osłabiać znaczenie dokonania tego przedsięwzięcia.

Coprawda, ani jedna, ani druga partja nie pokusiła się o zaatakowanie właściwej ściany w całej jej rozciągłości, ani nie osiągnęła wierzchołka. Jedna (J. K. Dorawski, K. Piotrowski i A. Sokołowski, dnia 8 kwietnia 1925 r.) dokonała tylko przetrawersowania zachodu biegnącego w górnych partjach ściany, druga (M. Sokołowski i K. Wallisch, dnia 9 kwietnia 1928 r.) po przejściu najniższej części ściany, skierowała się w prawo i opuszczając ścianę osiągnęła terasy u stóp szczytowych skał Cubryny.

Te okoliczności sprawiły, że poraz pierwszy (w czasie świąt Wielkiej Nocy 1934 r. ze Stanisławem Siedleckim) wchodziłem w północną ścianę Mięguszowieckiego bez specjalnego nabożeństwa, nastawiony zgóry na powodzenie.

Tymczasem najniespodziewaniej Mięguszowiecki wyszczerzył zęby. I to jeszcze przed połową ściany. Komin, którym wiedzie droga letnia, zawalony lodem był niedopokonania. Dzióbaliśmy w lodzie ze Stasiem sporo godzin — bez skutku. To była pierwsza próba.

Druga prawie w rok potem (w okresie świąt Bożego Narodzenia 1934 r.). Tym razem jako towarzysza miałem współzdobywcę Jaworowego i Małego Kiezmarskiego, pierwszorzędny ekwipunek wspinaczkowy i biwakowy i moc jedzenia. Byliśmy zatem jaknajlepszej myśli. Komin, w którym utknąłem za pierwszym razem, wyglądał mniejwięcej tak samo. Próba była naprawdę rozpaczliwa. Dwa dni siedzieliśmy w tym kominie, próbowali przejść wprost, obejść z jednej lub drugiej strony, spędzili u jego stóp 2 biwaki — wszystko bezskutecznie. Znów trzeba było zjeżdżać.

Należało przerwać złą serję — zamiast na Mięguszowiecki poszedłem

---

ficzno-roślinny. Z Tatr i Podhala Nr. 1. Wydawnictwo popularno-naukowe Muzeum Tatrzańskiego. Zakopane 1935. Str. 211. Rycin 70.

w następnym sezonie na Kaczy, potem na Cubrynę i Zawratową. Poszlo składnie; a zatem szczęśliwa gwiazda zaczęła znów przyświecać.

Gdy byłem na Cubrynie miałem możność przypatrzeć się z boku dokładnie Mięguszowieckiemu i wtedy zrozumiałem, że takich ścian jest w Tatrach bardzo niewiele, że trudności muszą być na niej ogromne i że to naprawdę gra warta świeczki. Myśl pokonania tego ponurego urwiska nie opuszczała mnie ani na chwilę.

Idąc poraz trzeci na Mięguszowiecki z Jaśkiem Staszlem w kwietniu b. r. byliśmy zdecydowani na wszystko: «albo ty nasz, albo my twoi». Postanowiliśmy sforsować ścianę za wszelką cenę. Jedna okoliczność podnosiła nasze szanse — mieliśmy haki lodowe, które okazały się nieocenione na Cubrynie, haki, których nam brakło w czasie dwu pierwszych prób. Rozumieliśmy, że jeżeli nie pokonamy tego fatalnego komina od jednego zamachu, to i trzecia próba będzie bezowocna. Możnaby go wprawdzie obejść depresjami z prawej strony i to zapewne dałoby się uskutecznić bez większych trudności, chcieliśmy jednak iść tak jak w czasie pierwszych prób.

Dlatego wszystkie siły włożyliśmy w pierwsze uderzenie. Tak odrazu Mięguszowiecki po łbie.

Uderzenie było istotnie potężne — komin puścił względnie łatwo — haki lodowe i raki systemu Grivel zrobiły swoje.

Względnie łatwo, no, powiedzmy ściślej, dość trudno. Tu jednak, dla uniknięcia nieporozumienia, muszę nadmienić, że od pewnego czasu używam sobie prywatnie znakomitej skali trójstopniowej: łatwo, dość trudno i... zjazd. Powyżej komina było już «łatwo» aż do zachodu biegnącego poniżej górnych partyj ściany a wyprowadzającego w prawo na taras pod Cubryną.

Tu nastąpił nocleg. W warunkach podłych. Późna pora dnia nie pozwoliła na wyszukanie odpowiedniego miejsca na którem daloby się rozbić namiot, musieliśmy zatem całą noc przetrwać w wysoce niewygodnych pozycjach, pół siedząc — pół leżąc. Pogoda, która już w czasie pierwszego dnia wyprawy zaczęła się zmieniać na gorsze, zepsula się definitywnie. Przyszla gęsta mgła, chwilami śnieg. Najgorsze jednak stanowiły lawiny pyłowe walące bez przerwy z górnych części ściany. Te pyłówki zaczęły nam towarzyszyć od chwili wejścia w komin i nie opuszczały prawie na chwilę — początkowo malutkie, stopniowo coraz bardziej wzrastały, aż doszły do rozmiarów groźnych.

Przez całą noc szły — prosto na nas — zasypały też nas zupełnie.

Na drugi dzień było kiepsko — mgla zupełna. Te przeklęte lawiny szły ciągle, opuściły nas dopiero na pn.-wsch. grzędzie, na którą wydostaliśmy się zresztą prawie bez trudu. Grzęda była bardzo milutka: stromy koń śnieżny — szło się nim znakomicie.

Gdy stanęliśmy w miejscu gdzie grzęda wrasta w kopułę szczytową, skąd można tak łatwo zejść do kotla pod Mięguszowieckiemi, przyszły refleksje: dolna część ściany zrobiona, warunki podłe, czy nie należałoby wobec nich zrezygnować z dalszej części wyprawy? Dużo trzeba było zaparcia się siebie i siły woli, by zamiast wdół, skierować swe kroki ku górze. Teren był tym razem naprawdę dość latwy, śnieg tylko trochę zatwardy i te ustawiczne pyłówki przeszkadzały co się zowie, zmuszając do niezwykle starannej asekuracji. Co chwilę musieliśmy zatrzymywać się, by przylgnąwszy twarzą i całem ciałem do stromizny śniegu przeczekać aż tumany pyłu przewalą się przez nas i by móc, wyczekawszy chwilę względnej ciszy, posunąć się o kilka metrów w górę.

Wobec takich warunków zrezygnowaliśmy z pierwotnego planu pokonania górnych części ściany wprost rynną i postanowiliśmy zachodem wyjść na wsch. grań i granią na szczyt. Nie osiągnęliśmy jej jednak w tym dniu. Biwak nastąpił nieco poniżej na zachodzie, w głębokiej jamie utworzonej pomiędzy śnie-

giem o skałą. Gdyby nie przemoczony w czasie pierwszego biwaku sprzęt — ten drugi biwak można byłoby nazwać luksusowym.

Na grani stanęliśmy w trzecim dniu wyprawy przed godz. 9 rano. Tu na odmianę przywitał nas silny wiatr. Spodziewaliśmy się, że grań, w lecie nieco trudna choć dość stroma, nie nasunie nam większych trudności — znów jednak zawiedliśmy się srodze. Oblepiona śniegiem i lodem wymagała żmudnego i pożerającego już i tak wyczerpujące się nasze siły, kilkogodzinnego rąbania się w lodzie i śniegu.

Wreszcie, już popoludniu, osiągnęliśmy wierzchołek.

Mięguszowiecki został zdobyty. Trofeum zwycięstwa, kawałek odłamanej tyki szczytowej, powędrował do plecaka...

Schodząc, już po nocy, ku Hinczowym, choć serca nasze rozpierała radość z odniesionego sukcesu, nie mogłem się pozbyć uczucia jakiegoś smętku i żalu. Że to już za nami, że to, o czem marzyłem przez długie miesiące już się stało, że ten bój o zdobycie Mięguszowieckiego już skończony.

Horarium wyprawy:

7 kwietnia. Morskie Oko 4h, pod ścianą 5h30′, powyżej «komina» 11h30′, zachód — miejsce pierwszego biwaku 18h.

8 kwietnia. Wymarsz z biwaku 8h30′ — miejsce II. biwaku na górnym zachodzie 16h30′.

9 kwietnia. Wymarsz z biwaku 7h — grań 8h30′, szczyt 15h30′—16h30′, Hinczowy Staw 21h.

Wejście odbyło się drogą Nr.: 389, 391, 392, 394 oraz 387 i 382 Przew. J. Ch. i M. Ś. — zejście drogą Nr. 382 do Hińczowych Stawów.

Warunki terenowe: ośnieżenie i olodzenie obfite, śnieg niejednostajny, od kopnego puchu do twardej szreni.

Warunki atmosferyczne: 1 dzień: dość pogodnie, popoludniu mgła, chwilami śnieg. 2 dzień: mgła, chwilowe przejaśnienia, wiatr, ustawiczne lawiny pyłowe. 3 dzień: pogodnie, na grani silny wiatr.

ZBIGNIEW KOROSADOWICZ

ITINERARJA

NOWE WEJŚCIA ZIMOWE NA KAPAŁKOWE TURNIE.

I. Dnia 30 marca 1936 r.: I wejście zimowe na Wielką Kapałkową Turnię. Towarzysz: Stan. Siedlecki.

Horarium: Galajdowa Polana: 8h15′; wylot Dol. Suchej: 10h22′—45′; wejście w skały: 13h05′; Wielka Kapałkowa Turnia: 15h—15h25′; wylot Dol. Suchej: 17h; Galajdowa Polana: 18h.

Wejście na Wielką Kapałkową Turnię odbyło się następującą, w warunkach zimowych zapewne najdogodniejszą, drogą: z kotła 1880 m Dol. Suchej jeszcze dość długo w górę, po rozległych, stromych polach śnieżnych ku wyraźnej, prostokątnej, dość głęboko w skały pd.-wsch. grani Wielkiej Kapałkowej Turni wciętej zatoce śnieżnej (znajduje się ona bezpośrednio na l. od wysokiej i szerokiej ściany grzędy, ograniczającej z pr. (orograf.) strony żleb, spadający z Kapałkowej Szczerbiny Wyżniej). Z pr. kąta zatoki rodzajem szerokiej załupy (w lecie prawdop. żleb) na wspomnianą grzędę, poczem najpierw równolegle do grzędy (omijając małą turniczkę po l. stronie), następnie silnie w l., trawersując małe żebra skalne i pola śnieżne, na siodło, położone w pd.-wsch grani Wielkiej Kapałkowej Turni, skąd skalisto-śnieżną granią po ok. 50 m na wierzchołek. Zejście — aż do grzędy — po śladach; poczem przez niską ściankę na dno żlebu z Kapałkowej Szczerbiny Wyżniej i nim na śniegi Dol. Suchej.

Pogoda b. zmienna, okresami małe śnieżyce. Warunki śnieżne niezłe; temperatura ok. 0°.

II. Dnia 23 kwietnia 1936 r.: I wejście zimowe na Kapałkową Szczerbinę oraz na Środkową Kapałkową Turnię. Samotnie.

Horarium: Gałajdowa Polana: 4h50′; wylot Dol. Suchej: 6h20′—30′; kocioł 1880 m w Dol. Suchej: 7h15′—25′; początek żlebu z Kapałkowej Szczerbiny: 8h05′—15′; Kapałkowa Szczerbina: 8h30′—35′; Środkowa Kapałkowa Turnia: 8h40′—9h30′; kocioł 1880 m: 10h30′—11h; Gałajdowa Polana: 12h40′.

W dolinach (od wysok. ok. 1300 m) i żlebach warunki całkowicie zimowe, jedynie granie miejscami (od pd.) wolne od śniegu. Z kotła 1880 m w Dol. Suchej do wylotu żlebu z Kapałkowej Szczerbiny (żleb ten widoczny jest dopiero z bezpośredniego sąsiedztwa jego ujścia) po znakomitym firnie. W żlebie, wąskim, stromym, wypełnionym zlodowaciałym śniegiem, piękny, parometrowy próg lodowy. Grań częściowo wolna od śniegu, częściowo tworząca śnieżne konie.

Pogoda b. piękna, silna insolacja już w godzinach rannych. Rano paro-stopniowy mróz, dzięki czemu warunki śnieżne wręcz znakomite: przemrożony, niezwykle twardy firn.

Fot. Jerzy Pierzchała.



KAPAŁKOWA GRAŃ
widziana z Sobkowej Grani.

III. Dnia 26 kwietnia 1936 r.: I wejście zimowe na Kapałkową Ławkę oraz I wejście zimowe pd.-wsch. granią[1]) na Małą Kapałkową Turnię. Samotnie.

Horarium: Gałajdowa Polana: 8h; wylot Dol. Suchej: 9h50′—10h50′; kocioł 1880 m w Dol. Suchej: 11h45′—50′; Kapałkowa Ławka: 12h30′—40′; Mała Kapałkowa Turnia: 12h55′—13h30′; Sucha Dol.: 14h; Polana Gałajdowa: 16h.

Wyjście z gajowni w zanikającej śnieżycy; warstwa świeżego śniegu w dolinie 5—10 cm, w górach znacznie więcej. Wejście na Kapałkową Ławkę odbyło się nie głównym żlebem, spadającym z przełęczy, lecz bocznym, położonym na l. od jego wylotu, a następnie skalisto-śnieżnym terenem. Z przełęczy na szczyt b. silnie ośnieżoną i olodzoną (po nocnej parogodzinnej śnieżycy) granią. Widok — dzięki wspaniałym efektom chmur ustępującej śnieżycy — niezrównany. Zejście już w całkowitej pogodzie —; zwracało uwagę dno Doliny Suchej, poryte niemal w całej swej długości bruzdami lawin kamiennych.

Warunki atmosferyczne: do godz. 12-ej b. gęsta mgła, jeszcze chwilami śnieg; poczem już coraz piękniejsza, słoneczna pogoda.

JERZY PIERZCHAŁA

---

[1]) I wejścia zimowego na Małą Kapałkową Turnię dokonał J. A. Szczepański, dnia 29 kwietnia 1929 r. wprost z Dol. Suchej (od pn.-zach.) drogą opisaną w «Taterniku» XIX, 174. Por. o tem również «Taternika» XIX, 176.



I WEJŚCIE ZIMOWE Z DOL. DZIKIEJ NA KIEZMARSKĄ PRZEŁĘCZ WYŻNIĄ.

Podpisani, dnia 8 kwietnia 1936 r. — Schronisko nad Zielonym Stawem Kiezmarskim 3^h, Dol. Dzika (żleb pomiędzy Durnym i Łomnicą) 5^h, terasa u początku Miedzianych Ławek 6^{10}—6^{30}, Kiezmarska Przełęcz Wyżnia 10^{20}—11^{30}, Huncowska Przełęcz 13^{30}—14^{55}, Rakuska Przełęcz 16^{15}, Zielony Staw Kiezmarski 17^h.

Wejścia dokonano drogą, opisaną w «Taterniku» XVIII 68. Zejście drogą nr. 1111 (Przew. J. Ch. i M. Ś.) na Huncowską Przełęcz i stąd przez Rakuską Przełęcz do Zielonego Stawu Kiezmarskiego.

Poprzedzającego dnia i w nocy dość znaczne opady śnieżne. Wymarsz ze schroniska przy gęstej mgle, która ok. 6^h rozwiewa się; później słoneczna pogoda i b. silny, mroźny wiatr, uniemożliwiający ustanie na nogach w samem siodle przełęczy. Droga prawie całkowicie śnieżna — jedynie trawers omijający próg nad terasą u początku Miedzianych Ławek prowadził po skałkach i trawkach pokrytych lodem. Śnieg poniżej wspomnianego progu głęboki i puszysty, powyżej twardy, sprasowany przez wiatr. Operujące na grani słońce i wiatr przez cały czas strącały na nas niewielkie lawinki śnieżnego pyłu i odłamków z nawisów. Temperatura nieznacznie poniżej zera.

ZOFJA WYSOCKA
MACIEJ ZAJĄCZKOWSKI

SKALNE DROGI

NIEBIESKA TURNIA pd. ścianą (opracowanie W Paryskiego).

Droga częściowo nadzwyczaj trudna, b. eksponowana, ciekawa; 2 godz.

Dolną część ściany można pokonać w dwa sposoby (1 i 2):

1. Przejście dolnej części ściany bliżej linji spadku wierzchołka. Nadzwyczaj trudno. Żlebkiem, prowadzącym na Nie-

I. Niebieska Przełączka Wyżnia.

II. Wierzchołek Niebieskiej Turni.

III. Niebieska Przełęcz.

A. Podnóże górnego uskoku wschodniej grani Niebieskiej Turni.

[Rysunek wyobraża ścianę w dużym skrócie ukośnym. Z tego też powodu — m. in. — górna część drogi tą ścianą prowadzi dalej od górnego uskoku wschodniej grani, niż to się wydaje na rysunku].



(Rys. według fotografji Zdzisław Dąbrowski).

PD. ŚCIANA NIEBIESKIEJ TURNI
WIDOK ZE ŚCIEŻKI Z ZAWRATU NA ŚWINICĘ.

bieską Przełęcz (drogą Nr. 34 Przew. J. Ch. i M. Ś.) mniej więcej do połowy jego skalistej części, gdzie wejście w ścianę. Rzucającemi się w oczy, przewieszonemi stopniami *(10)* wprost wgórę, poczem (nie za wysoko) trawers w l. pod ciemną, przewieszoną rysą i wreszcie przez płytę, osiągając potrzaskany blok za największą płytą drogi 2 *(6)*.

(Roman Owidzki, Jan Sawicki i Karol Zając, 31. V. 1931).

Dalej drogą 3.

2. Przejście dolnej części ściany trawersem od l. strony. B. trudno. Ścieżkę, prowadzącą z Zawratu na Świnicę (drogę Nr. 20 Przew. J. Ch. i M. Ś.) opuszczamy wkrótce po przekroczeniu żlebu z pod pd. ściany Niebieskiej Turni. Trawiasto-skalistym terenem wgórę do miejsca, gdzie on najwyżej podchodzi pod l. część urwisk Niebieskiej Turni, tuż na l. od wielkich, podciętych płyt. Wejście w ścianę *(1)* przy dużym, luźnym głazie (od Zawratu 15 min.).

W pr. przez niską ściankę na wielką, stromą płytę *(2)* i górną jej częścią w pr. na trawiasto-skaliste stopnie przed drugą płytą *(3)*. Stąd:

albo: a) łatwiej: obniżywszy się nieco, trawers w pr., przekraczając skalistą rynnę i wskos w pr. na żeberko przed następną, największą płytą *(4)* i żeberkiem tem kilka m wgórę do stanowiska pod pionowemi ścianami *(5)*;

albo: b) trudniej: trawers wskos wgórę górną częścią owej drugiej płyty *(3)* do stanowiska *(5)* u początku następnej, największej płyty *(4)*.

Górną częścią owej największej płyty trawers w pr. tuż popod ścianą (w drugiej połowie obniżając się nieco) aż do końca płyty *(6)* (potrzaskany blok; łączymy się z warjantem 1). Dalej drogą 3.

3. Górna część ściany. Jedno miejsce nadzwyczaj trudne. W pr. na mały tarasik *(7)*, z którego wskos w pr. na żeberko (tu odchodzi w pr. warjant 5). Wskos w l. do płytowego kominka i nim nieco wgórę, poczem na odpęknięty blok z pr. strony. Z powrotem do kominka pod przewieszkę i wgórę, skąd albo: a) nadzwyczaj trudno: wprost przez przewieszkę (Z. Korosadowicz i K. Zając, 1. VIII. 1930) — albo też: b) nadzwyczaj trudno: obchodząc przewieszkę z l. strony.

Dalej (na l. duża płyta) wgórę z odchyleniem w pr. rysą, będącą dalszym ciągiem kominka i jeszcze nieco w jej przedłużeniu do miejsca *(8)*, skąd, gdyby się trawersowało kilka m w pr., osiągnęłoby się łatwo wsch. grań, bezpośrednio u stóp (A) górnego uskoku.

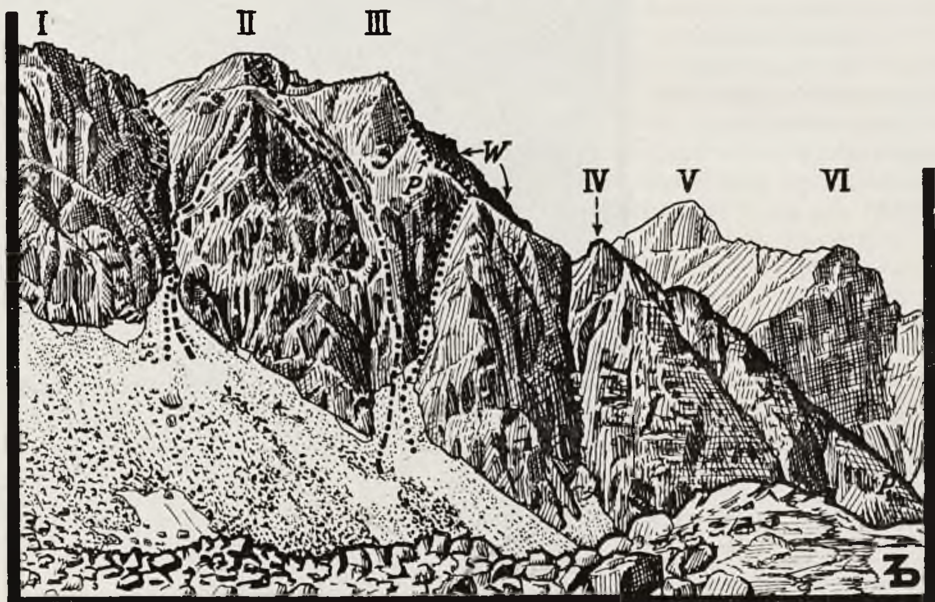
(Lida Skotnicówna i Bron. Czech, 21. VII. 1929).

4. Teraz wskos w l. i dłuższy trawers w l. otwartą ścianą — mijając ciągnące się wgórę pęknięcie, a potem rysę *(9)* [1]) — poczem wgórę, wprost na wierzchołek.

(Jan Gnojek i Tad. Pawłowski, w lecie 1928 lub 3. VII. 1929).

5. Warjant łączący drogę pd. ścianą z wsch. granią; trudny. Z popod kominka na drodze 3 trawers w pr. (na rys. oznaczony strzałką) do zwykłej drogi wsch. granią, osiągając ją 2 m powyżej «wybrzuszonego stopnia».

(Zbign. Korosadowicz i Karol Zając 23. VI. 1931, ale w podobny sposób lub może nieco wyżej — w każdym razie poniżej przewieszki w kominku — trawersowali już Stef. Osiecki i Karol Wallisch, 25. IX. 1930).



KRÓTKA OD PN.-WSCH.
Widok od Terjańskiego Stawu Wyżniego w Dolinie Niewcyrce
(Rysował według fotografji Zdz. Dąbrowski).
I = Wsch., II = środkowy i III = pn. wierzchołek Krótkiej. — IV = Ramię Krótkiej. — V = Krywań. VI = Ramię Krywania. — *W* = wsch. grań Krótkiej. — *P* = pn. grań Krótkiej.

KRÓTKA od strony pn.-wsch.

W zwróconej ku małemu stawkowi bez nazwy, położonemu w najwyższej części Dol. Niewcyrki u stóp Ostrej i Krótkiej, pn.-wsch. ścianie Krótkiej wyróż-

[1]) Można nią wyjść do głębokiej, poprzecznej szczeliny na wsch. grani, już nad jej górnym uskokiem.

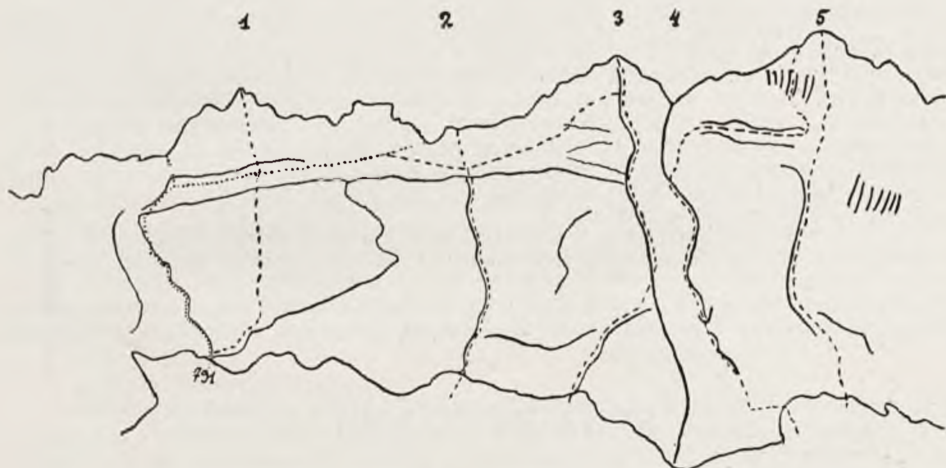
niają się trzy żleby, z których l. (pd.) spada z siodełka pomiędzy wsch. a środkowym wierzchołkiem Krótkiej, środkowy przerzyna środek ściany, a pr. (pn.) zbiega z siodełka pomiędzy Ramieniem Krótkiej [1]) a właściwą, pn. granią Krótkiej. Pomiędzy l. a środkowym żlebem wrasta w dolinę dość wyraźne, pn.-wsch. żebro Krótkiej, odchodzące od jej środkowego wierzchołka. Ścianą wiodą obecnie cztery drogi:

1) pn.-wsch. żlebem. Z piargów Dol. Niewcyrki do ujścia żlebu i jego rumowiskiem zasłanem dnem aż pod pionowy i wysoki w nim próg i tu ostro w l. na towarzyszące żlebowi z l. strony skały, któremi do depresji w pn.-wsch. ścianie wsch. wierzchołka. Stąd wgórę i wpr. łatwo spowrotem do żlebu już ponad jego próg i jego żwirem przysutem dnem bądź prosto wgórę do siodełka pod wsch. wierzchołkiem, bądź nieco wpr. wprost na środkowy wierzchołek ($^1/_2$ godz.). Droga krótka i łatwa, nadająca się do schodzenia, z wiodących od pn.-wsch. najłatwiejsza (I zejście: J. Dürr, A. i J. A Szczepańscy, dnia 9 lipca 1925 r., I. wejście: J. A. Szczepański, dnia 29 lipca 1935 r.);

2) od wsch. na środkowy wierzchołek. Drogą 1) aż w pobliże progu w żlebie, poczem wpr. boczną, szeroką i b. stromą depresją wśród stopniowo zwiększających się trudności wgórę aż na pn.-wsch. żebro Krótkiej, już ponad jego urwiska, poczem wgórę wprost na środkowy wierzchołek ($^3/_4$ godz.). Droga dość trudna. (I w.: J. A. Szczepański, dnia 29 lipca 1935 r.);

3) pn.-wsch. ścianą na środkowy wzgl. pn. wierzchołek. Od ujścia środkowego ze żlebów pn.-wsch. strony Krótkiej w l. na ścianę, poczem w l. na dość wyraźną grzędę, z której bądź w l. na środkowy, bądź wpr. na pn. wierzchołek ($^3/_4$ godz.). Droga nieco trudna, z jednem miejscem dość trudnem (I prz.: T. Bernadzikiewicz i J. Wojsznis, dnia 17 sierpnia 1932 r.);

4) od wsch. na pn. grań. Dość stromym i skalistym, środkowym żlebem pn.-wsch. strony Krótkiej (w dolnej części często po śniegu, w środkowej — wprost przez wysoki, mokry i kruchy próg) na pn. grań, osiągając ją mniejwięcej w połowie odległości pomiędzy Ramieniem Krótkiej a pn. wierzchołkiem Krótkiej ($^3/_4$ godz.). Droga dość trudna. (I prz.: J. A. Szczepański, dnia 29 lipca 1935 r.).



Według rys. Heleny Dębińskiej

OBRAZ DRÓG NA PÓŁNOCNEJ STRONIE NOWOLESNYCH TURNI

1 = Skrajna Nowoleśna Turnia. 2 = Ciemna Ławka. 3 = Środkowa Nowoleśna Turnia. 4 = Nowoleśna Szczerbina. 5 = Zadnia Nowoleśna Turnia.

NOWOLEŚNE TURNIE z Dol. Staroleśnej.

Przez opadające ku pn. ściany masywu Nowoleśnych Turni można przejść obecnie sześciu drogami:

1) od pn. na Skrajną Nowoleśną Turnię, drogą Nr. 791 Przew. J. Ch. i M. Ś. (I. prz.: K: Brouk, A. i J. A. Szczepańscy, R. Wasserberger i S. K. Zaremba, dnia 29 lipca 1925 r.);

[1]) Nazwę tę nadajemy niewielkiej lecz wyosobnionej turni, wznoszącej się w dolnej części pn. grani Krótkiej.

2) pn. ścianą na Skrajną Nowoleśną Turnię: Pod właściwą pn. ścianą Skrajnej Nowoleśnej Turni znajduje się duża bula. Od pr. strony na piarżysty taras owej buli. Biegnie stąd wskos w pr. rodzaj kruchego, rynną przeciętego, o rdzawem zabarwieniu skal zachodziku. Z tarasu tylko kilka m w pr. owym zachodzikiem, poczem wprost wgórę wysokiemi stopniami skalnemi i ściankami do kilkumetrowego kominka, którym na duże rumowisko skalne. Niem w pr. na piarżysty taras położony na wierzchołku filara skalnego, oddzielającego nas od głębokiej rynny w pr. części pn. ściany. Stąd cokolwiek w l. i wprost wgórę po pr stronie urwisk na nieco łatwiejszy, złomami zasłany teren, którym w pr. aż poza kulisę skalną, gdzie znajduje się wielki, płytowo-piarżysty taras. W jego przedłużeniu wprost wgórę ciągnie się wybitna załupa. Skałami na l. od niej — na rozległą galerję rozciągającą się u stóp niewysokiej już ścianki szczytowej. Ścianka ta, z l. strony, wydłuża się w rodzaj żeberka kończącego się po kilkudziesięciu m urwiskiem, i niełączącego się z pn.-wsch. granią. Piargami galerji wskos w l. i tuż na l. od potężnej, ku pn.-zach. zwróconej płyty, przez wielkie spiętrzone bloki na dobre stanowisko w czołowem urwisku wspomnianego wyżej żeberka. Stąd wprost wgórę kilkanaście m przez wielkie złomy do wylotu ciasnego, podwieszonego kominka i nie wchodząc do niego, wielkim krokiem na ściankę z l. strony kominka. Przez nią wskos w l. w ekspozycji po kilku m — na stopnie już po wsch. stronie żeberka. Stąd w pr. wgórę na jego krawędź i nią, obszedłszy w połowie nakształt dziuba zwisającą przewieszkę — wprost na wierzchołek (1 godz.). Droga dość trudna, w górnej części interesująca; wdole skały nadzwyczaj kruche (I prz.: W. Stanisławski i M. Żuławski, dnia 15 sierpnia 1931 r.);

3) od pn. na Ciemną Ławkę[1]), wg. opisu w «Taterniku» XX 137—138 (I prz.: H. Dębińska, A. i J. A. Szczepańscy, dnia 20 sierpnia 1927 r.);

4) pn. grzędą na Środkową Nowoleśną Turnię: Z piargów Dol. Staroleśnej zacięciem z pr. strony grzędy na trawiasty zachód, z niego na płytę w grzędzie i skośnym kominkiem przez ściankę i po łamanych blokach na grzędę, tworzącą rodzaj małej kazalnicy. Z niej przez dwa ostre konie skalne i z pr. strony kruchej ścianki. Grzęda tworzy teraz szeroką, z luźnych bloków złożoną grań. Dalej z l. strony przez ściankę i obchodząc czarny uskok po l. stronie po trawkach, na trawiastą platformę, zarzuconą blokami. Z niej do nyży pod białemi, przewieszonemi płytami. Tutaj skośnie trawers w l. do trawniczka. Trawiastą ścianką wgórę ok. 10 m i trawers w pr. na grań po półce z luźnych bloków. Grzędą po l. stronie aż do białych płyt, poczem wpr. na piarżystą galerję pod szczytem. Stąd pr. z dwu kominków skośnie w l. wgórę; kominek niebawem rozszerza się i ginie. Po płytach zacięciami wprost na wierzchołek ($1^3/_4$ godz.). Droga częściowo b. trudna, w dolnej części niemiła zpowodu traw i kruchych skał; w górze skała mocna. (I. prz.: J. Sawicki, dnia 16 sierpnia 1932 r.; początek tej drogi przeszli już jednak J. A. Szczepański i S. K. Zaremba, dnia 10 września 1926 r.).

5) od pn. na Zadnią Nowoleśną Turnię, drogą opisaną w «Taterniku», XIX 94—95 (I. prz.: H. Dębińska i J. A. Szczepański, dnia 22 sierpnia 1927 roku);

6) pn.-wsch. ścianą na Zadnią Nowoleśną Turnię, drogą ogłoszoną w «Taterniku» XIX 205 (I. prz.: S. Motyka i J. Sawicki, dnia 16 lipca 1932 r.).

SPRAWY KLUBU

Wyprawa treningowa w Alpy.

Jak podaliśmy w poprzednim zeszycie «Taternika» (str. 190), wyprawa treningowa w Alpy miała się skierować w Alpy Walijskie pod kierownictwem inż. Adama Karpińskiego. W pierwszych dniach lipca okazało się jednak, że — z przyczyn od

[1]) Dla wybitnych przełęczy w grani Nowoleśnych Turni wprowadzamy nazwy następujące:
a) Usypista Szczerbina — dla wąskiej przełęczy między Wschodnią Warzechową Turnią a Zadnią Nowoleśną Turnią;
b) Nowoleśna Szczerbina — dla przełęczy pomiędzy Zadnią a Środkową Nowoleśną Turnią;
c) Ciemna Ławka — dla szerokiej przełęczy pomiędzy Środkową a Skrajną Nowoleśną Turnią.

Klubu niezależnych — wyjazd wyprawy w Alpy Szwajcarskie jest niemożliwy, podjęto zatem projekt pierwotny (por. «Taternik» XX 138) skierowania jej w Alpy Austrjackie. Wyprawa ma się składać z 6—9 uczestników, wyjazd jej z Warszawy nastąpi 15 lipca. Przewidziany został 1-dniowy pobyt w Wiedniu dla skompletowania ekwipunku, który zresztą w większej części został wykonany w Warszawie według oryginalnych wzorów pomysłu inż. A. Karpińskiego. Uczestnicy wyprawy zostali przed wyjazdem poddani badaniom lekarskim w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego w Warszawie oraz przeszli w komorze niskich ciśnień w Warszawie próbę na ciśnienie odpowiadające wzniesieniu 6.000 m.

Program Himalajski Klubu Wysokogórskiego.

Powołana do życia w dniu 26 kwietnia b. r. Komisja Himalajska (p. «Taternik», XX, 190) w dniu 14 czerwca b. r. przedstawiła Zarządowi Klubu opracowany przez siebie obszerny program, dotyczący polskiej działalności alpinistycznej na okres najbliższych lat. W program ten wchodzą: 1) tegoroczna wyprawa treningowa w Alpy, w następnych zaś latach: 2) 3-osobowa wyprawa wywiadowcza na Lodowiec Baltoro w Karakorum, 3) 6-osobowa wyprawa trenigowa w Centralny Kaukaz, 4) 4 lub 6-osobowa wyprawa w Garhval, oraz 5) właściwa wyprawa w Himalaje-Karakorum, której cel określi wyprawa wywiadowcza.

Zarząd Klubu wypowiedział się za przyjęciem powyższego programu i jednogłośnemi uchwałami postanowił go przyjąć oficjalnie, upoważniając jednocześnie Komisję Himalajską do wszczęcia starań u władz brytyjskich o pozwolenie na wjazd wypraw polskich na tereny Himalajów. Ze względu jednak na wagę przedsięwzięcia, wymagającego długotrwałego i skoordynowanego wysiłku Klubu, Zarząd postanowił przekazać sprawę programu himalajskiego następnemu Zarządowi z tem, że w jesieni lub w zimie — po wyjeździe wyprawy andyjskiej — sprawa ta zostanie wniesiona na porządek dzienny specjalnie zwołać się mającego Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Klubu, które poweźmie ostateczne uchwały w sprawie tak ważnej dla polskiego alpinizmu.

W związku z przyjęciem programu himalajskiego, Zarząd Klubu uchwalił, że wyprawy, organizowane z incjatywy prywatnej będą mogły uzyskać poparcie i firmę Klubu Wysokogórskiego tylko wówczas, gdy nie będą leżały w linji programu Klubu i o ile nie będą angażowały finansów, potrzebnych dla wypraw, które Klub w myśl przyjętego planu będzie projektował.

Kursy taternictwa.

Niezależnie od informacyj, które podaliśmy w poprzednim zeszycie «Taternika», (str. 190), Klub Wysokogórski przystępuje do realizacji specjalnych kursów taternictwa — w myśl zasad ideowych, przedstawionych przez Zarząd Koła Zakopiańskiego Klubu, któremu też powierzona została organizacja kursów. Zamierzone są kursy letnie dla początkujących i dla zaawansowanych oraz kursy zimowe. Kursami kierować będą członkowie Klubu Wysokogórskiego, w miarę potrzeby przy pomocy zawodowych przewodników-górali. Ogłoszenia i bliższe informacje o kursach będą w odpowiednim czasie wywieszone w Oddziałach P. T. T. w Warszawie i w Krakowie, oraz na Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem.

Z Koła Warszawskiego.

W okresie wiosennym Koło Warszawskie urządziło w krótkich odstępach czasu 3 zebrania klubowe z referatami, cieszące się jak zwykle znaczną frekwencją. Dnia 7 maja inż. M. Zajączkowski mówił o «Alpiniźmie akrobatycznym», 4 czerwca Z. Dąbrowski wygłosił opracowany wspólnie z inż. M. Zajączkowskim referat p. t. «Rekordy górskie w perspektywie alpejskiego lata i tatrzańskiej zimy», ostatnie zaś przed sezonem letnim zebranie klubowe, w dniu 16 czerwca, wypełnione zostało szeroko ujętym pod względem tematu i treści odczytem inż. A. Karpińskiego p. t. «Tegoroczna wyprawa treningowa w Alpy na tle przyszłych zadań polskiego alpinizmu». Po referacie, a przed nadzwyczaj ożywioną dyskusją — znany lekarz sportowy kpt. dr J. Mazurek omówił fachowo znaczenie czynnika fizjologicznego w alpiniźmie.

Z Koła Krakowskiego.

Rozwijając w dalszym ciągu życie klubowe w krakowskiem środowisku taternickiem, zorganizowało Koło Krakowskie trzy dalsze herbatki towarzyskie, z następującymi tematami: problem dopływu świeżych sił do taternictwa (dnia 23 kwietnia; dyskusję zagaił J. K. Petecki), zagadnienie trudności dróg górskich (dnia 28 maja;

dyskusję otwarł J. K. Dorawski), taternik doskonały (dnia 23 czerwca; dyskusję rozpoczął W. Krygowski).

«Przewodnik Monograficzny po Tatrach».

Jak to «Taternik» drukował w zeszycie 1 i 2 bież. rocznika, trzej członkowie Klubu Wysokogórskiego P. T. T.: Z. Dąbrowski, W. Paryski i J. A. Szczepański podjęli w jesieni ub. r. pracę nad przygotowaniem do druku kolejnych tomów «Przewodnika Monograficznego po Tatrach». W dniu 26 kwietnia b. r. Zarząd Klubu uchwalił udzielenie «Przewodnikowi» firmy wydawniczej Klubu Wysokogórskiego P. T. T., podpisując z autorami «Przewodnika» osobną umowę, normującą stosunek pomiędzy autorami i Klubem jako wydawcą.

Nowi członkowie.

Stosownie do § 7 Statutu Klubu podajemy do wiadomości, że pp. Stanisław Motyka i Jadwiga Pierzchalanka zostali przyjęci w poczet członków zwyczajnych Klubu i przystąpili do Koła Zakopiańskiego.

Stosownie do uchwały Zarządu Klubu z dnia 12 stycznia 1936 r. podajemy do wiadomości, że p. Wanda Heniszówna została przyjęta w poczet członków uczestników Koła Zakopiańskiego, a p. dr Marjan Gieysztor w poczet członków uczestników Koła Warszawskiego.

Zawiadomienie.

II. Zwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego odbędzie się dnia 20 września 1936 roku w Zakopanem, w lokalu Państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego o godz. 10.

Porządek obrad:

1. Odczytanie protokólów z I. Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia z dn. 22 września 1935 r. i z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia z dn. 23 lutego 1936 r.
2. Sprawozdanie Zarządu.
3. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
4. Preliminarz budżetu na rok 1937.
5. Zmiany i uzupełnienia statutu Klubu.
6. Wybory nowego Zarządu i Komisji Rewizyjnej.
7. Wnioski i interpelacje.

W razie braku wymaganego kompletu, następne Walne Zgromadzenie odbędzie się tegoż dnia i w tem samem miejscu o godz. 10,45.

Za Zarząd Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

Sekretarz: Prezes:

(—) Zdzisław Dąbrowski *(—) Prof. dr Marjan Sokołowski*

KARTA ŻAŁOBNA

✝ **Zofja Iwanicka.** W dniu 20 czerwca b. r. zmarła niespodzianie, bo po parudniowej zaledwie chorobie — i przedwcześnie, bo w 32-im roku życia — ś. p. Zofja Iwanicka, długoletnia sekretarka biura Oddziału Warszawskiego P. T. T. W Zmarłej nietylko Oddział Warszawski P. T. T. stracił pracowniczkę sprawom Towarzystwa do głębi oddaną i w pracy dla niego znajdującą prawdziwe zadowolenie. Nas, warszawskich członków Klubu Wysokogórskiego śmierć ś. p. Zofji Iwanickiej poruszyła do głębi i wzbudziła wśród nas najszczerszy żal przedewszystkiem dlatego, że w ciągu wielu lat współpracy mieliśmy sposobność poznać w niej nietylko Człowieka wysoce wartościowego, ale i wszelkich spraw wysokogórskich prawdziwego Przyjaciela. Dawniej Koło Wysokogórskie O. W. P. T. T., a ostatnio Klub Wysokogórski korzystały niejednokrotnie z Jej bezinteresownej pomocy. Nie było takiej większej naszej pracy, nie było też takiej wyprawy zagranicznej, organizowanej przez warszawskie środowisko wysokogórskie, w których nie złożyłaby ś. p. Zmarła swego cichego, ale zawsze przydatnego udziału. Jeszcze tak niedawno obiecywaliśmy sobie na przyszłość wiele lat wspólnej pracy... Zły los chciał inaczej. Pozostaje tylko żal serdeczny i serdeczne wspomnienie po «naszej» Pani Zofji.

(Z. D.)

✝ **Maurycy Bich,** świetny przewodnik alpejski, zdobywca pd. i wsch. ściany Matterhornu, zginął w lawinie w Valtournanche, dnia 19 lutego 1936 r.

NOTATKI

Niemiecka akcja himalajska. Von Tschammer und Osten, niemiecki naczelny Reichssportführer, powołał do życia w maju b. r. organizację pod nazwą Deutsche Himalaja-Stiftung z siedzibą w Monachjum, stawiając na jej czele Fritza Bechtolda. Organizacja ta ma opinjować i przygotowywać finansowo wszelkie alpinistyczne wyprawy egzotyczne, ze szczególnem uwzględnieniem wypraw himalajskich.

Jeszcze na r. b. zdecydowała się ona wysłać pierwszą taką wyprawę w Sikkim, jako wyprawę treningową i przygotowawczą. Zacieśniono skład do 4 osób (dr Karl Wien, dr Günther Hepp i Adolf Göttner pod wodzą d-ra Paula Bauera) i uzyskano już pozwolenie angielskie. Wyprawa ta ma być wstępem do II wielkiej wyprawy niemieckiej na Nanga Parbat, która zaatakuje górę w roku przyszłym.

Militaryzacja alpinizmu włoskiego. Na zasadzie decyzji rządowych został do Club Alpino Italiano przydzielony w charakterze drugiego prezesa generał Celestino Bes z programem podporządkowania alpinizmu włoskiego komendzie inspektoratu oddziałów wojskowych Alpini. W Aosta, siedzibie wojskowej szkoły wysokogórskiej, odbył się Walny Zjazd Delegatów CAI, na którem większość stwierdziła zgodnie, iż alpiniści włoscy widzą szczególnie ważne swoje zadanie w haśle obrony wojskowej granicy alpejskiej, oraz że najważniejszym celem CAI jest praca nie dla sportu lecz dla wojska: nietylko alpinistów ale przedewszystkiem alpinich ma kształcić CAI.

Górami Centralnej Sahary zajmują się alpiniści i uczeni francuscy coraz aktywniej. Ostatnio, w «La Montagne» z maja 1936 r., znajdujemy nowe obszerne o nich sprawozdanie, pióra Roberta Perreta, który w latach 1931 i 1934 odbył dwie odkrywcze podróże do środkowo-saharyjskich tassili, przyczem w pierwszej podróży zwiedził Hoggar i wszedł jako pierwszy turysta na jego najwyższe wzniesienie Tahat 3010 m, a w drugiej podróży zwiedził Tassili Adżer, którego główny szczyt, Azeo Settefen 2359 m, tuż przed nim zdobył por. meharystów Brenans. Perret i jego towarzysz H. Lhote weszli ponownie na Settefen oraz zwiedzili łatwo technicznie dostępny Tazeruft 2050 m. Wspaniałe odkrycia archeologiczne (kultury Garamantów, Egipcjan, Etrusków i Greków), których Perret dokonał, głównie na skałach Nafeg, zdają się wskazywać, że ruch alpinistyczno-naukowy ku górom saharyjskim jeszcze się wzmoże w latach najbliższych (por. «Taternika», XIX, 185 i XX, 109).

Wędrówki Stefana Jarosza. Znany podróżnik, członek Klubu Wysokogórskiego, dr Stefan Jarosz — którego wejścia w Górach Skalistych i na lodowce Mac Kinleya w lecie 1928 r. omówił «Taternik», XIV, 24 i XVI, 16 — kontynuował w roku ubiegłym swą działalność podróżniczą i górską, zasługującą na uwagę tem większą, iż Jarosz dokonywa swoich dalekich wypraw prawie bez żadnych subwencyj. W lipcu 1935 r. spędził Jarosz, wraz z Amerykaninem dr C. F. Cox'em, dwa tygodnie w Canadian Rockies. Zwiedził tu Park Narodowy Jasper i Park Stanowy Robson oraz przeszedł z lodowca Berga na lodowiec Robson przez przełęcz pod Mount Robson.

Właściwym celem podróży Jarosza były jednak badania naukowe z ramienia Instyt. Geogr. Uniw. Jagiellońskiego na Wyspie Kościuszki na Oceanie Spokojnym u pd. brzegów Alaski. Jarosz bawił na Wyspie od dnia 14 sierpnia do dnia 15 października 1935 r., prawie cały czas samotnie, w okresie tym dokonując również paru wycieczek górskich, jak zwiedzenia zupełnie łatwych wzniesień Mount Holbrock i Mount Niples. W dniu 11 września wszedł Jarosz również na Mount Francis (995 m), najwyższy szczyt na Wyspie, obierając do wejścia i zejścia niełatwą drogę od wschodu. Później, w dniu 3 października, przy ponownej wycieczce na Mount Francis, wyszukał na górę łatwiejszą drogę od zachodu.

Dla najwyższej z nienazwanych gór Wyspy zaprojektował Jarosz nazwę Mount Kryzanowski, na cześć gen. Krzyżanowskiego, Polaka z pochodzenia, pierwszego amerykańskiego gubernatora Alaski. Ze szczytu zaś Mount Francis pobrał ziemię na Kopiec Marszałka Piłsudskiego na Sowińcu.

O swoich przeżyciach górskich obiecał Jarosz napisać artykuł dla «Taternika». Wykonany przezeń film jest, przy całej swej prymitywności, jednym z najlepszych dotychczas egzotycznych filmów reportażowych polskich.

Austrjaccy alpiniści w Warszawie. W końcu czerwca b. r. wyjechała w Centralny Kaukaz 6-osobowa wyprawa austrjacka w składzie: dr Walter Frauenberger, Ferd. Krobath, Ferd. Peringer, Herman Raditschnig R. Schwarzgruber i F. Wolfgang. Alpiniści austrjaccy zatrzymali się kilka godzin w Warszawie, gdzie byli serdecznie podejmowani przez kilku członków Klubu, zwłaszcza, że «stara gwardja» austrjackich Kaukazczyków (F. Krobath, F. Peringer i R. Schwarzgruber) ma wśród polskich alpinistów — uczestników zeszłorocznej wyprawy w Kaukaz — licznych

znajomych i przyjaciół. Warto przy okazji zaznaczyć, że alpiniści austrjaccy noszą się z zamiarem rozwiązania jednego z najpiękniejszych problemów kaukazkich, mianowicie I. przejścia wspaniałej, długiej i trudnej grani Dychtau-Kosztantau.

Dalsze niszczenie Tatr. Czechosłowacki minister robót publicznych Dostálek aprobował już, jak donosi *Karpathen Post*, projekt szeregu gościńców (autostrad) w głąb Tatr. W szczególności przewidziane są w pierwszej kolejności gościńce do Popradzkiego i Kamiennego Stawu, a w dalszym ciągu również gościńce do Doliny Staroleśnej, Wielickiego Stawu i Zielonego Stawu Kiezmarskiego.

O odrodzenie przewodnictwa tatrzańskiego. Znane są narzekania na niski stosunkowo poziom zawodowego przewodnictwa tatrzańskiego (co potwierdzają również ujemne echa z zagranicznej prasy alpinistycznej). Aby ów stan rzeczy naprawić, rozpoczął KČST już od dość dawna systematyczną akcję dokształcania przewodników tak w praktycznej jak i w teoretycznej znajomości taternictwa, przyczem wyniki tej pracy okazały się nader pomyślne. Ostatnio, w dniach 26 kwietnia do 3 maja b. r., zorganizowaniem dla siedmiu najlepszych swoich przewodników (V. Hudyma, P. Krupinsky, A. Krupitzer, M. Nitsch, P. Pocsuvaj, P. Spitzkopf i S. Zamkovsky) specjalnego kursu taternictwa zimowego, doprowadził KČST tę swoją pracę do końca. Przewodnicy wykazali zarówno wysoką sprawność techniczną jak i wielką wytrzymałość. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu 8 dni trwania kursu przeszli (w dwu «skupinach») 12 efektownych dróg wspinaczkowych (w tem tak trudne w warunkach zimowych jak pn. grań Małej Wysokiej i Żabiego Mnicha, Żółta Grań, grań od Walentkowej na Świnice i t. p.), ponadto przekraczając szereg przełęczy od Zielonego Stawu Kiezmarskiego po Halę Gąsienicową i Jezioro Szczyrbskie.

Z PIŚMIENNICTWA

IVAN HOUDEK: Osudy Vysokých Tatier. *Dejinný náčrtok so zvláštnym zretelom na Kriváň.* 1. Svazok spisov historického odboru Matice Slovenskej. Turčiansky Sv. Martin 1936. Str. 100 i 17 tablic.

Dość niespodziewanie zyskała turystyka słowacka w b. r. dziełko, poświęcone historji odkrywania, poznawania i zdobywania Tatr, od poszukiwaczy skarbów aż po rok 1934. Znany już ze swoich artykułów historycznych oraz badań nad pierwocinami turystyki tatrzańskiej Słowaków (por. «Taternik», XVIII, 102, XIX 103 i XX 143) — inż. Houdek ujmuje swoją pracę ściśle ze stanowiska słowackiego. To też, o ile dzieje taternictwa polskiego i niemieckiego rysują się w jego dziełku bardzo szkicowo, prawie pominięte choć nie zlekceważone — o tyle obraz poczynań słowackich w Tatrach uzyskuje naświetlenie pełne i historyczne, nb. poraz pierwszy. Przedwojenni Słowacy ograniczali swą działalność tatrzańską niemal wyłącznie do Krywania: to też dzieje Krywania zajmują u autora przeszło połowę dziejów całych Tatr, i są zresztą b. ciekawym zbiorem materjałów, poświadczających jak ważną rolę nawet społeczno-narodową odgrywał Krywań u bratniego nam narodu.

Pozatem chcemy autora ostrzec, aby nie wierzył statystykom wejść na bardziej popularne szczyty tatrzańskie (np. na Gierlach), układanym na podstawie zapisków wierzchołkowych. Mówiąc poprawdzie: wszystkie na tej podstawie robione statystyki są *do luftu*. Inż. Houdek wylicza skrupulatnie, że na Gierlachu w 1928 r. było 126 osób, w 1930 r. 390, a w 1932 r. 661, z czego połowa przypada Czechom i Słowakom, trzecia część Polakom, reszta Niemcom, Węgrom i t. p. Obliczenia te budzą uśmiech, gdy się zważy notoryczną niechęć colepszych turystów (zwłaszcza polskich) do «uwieczniania» się w puszkach wierzchołkowych. (*jaszcz).*

Wydawca: Klub Wysokogórski P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Polecamy uwadze wszystkich Czytelników

1. Zarząd Klubu Wysokogórskiego urzęduje w Warszawie. Adres Klubu: Warszawa, Żórawia 9 m. 1. Tymczasowe konto czekowe P. K. O. Nr. 4000. Wpłaty na to konto należy koniecznie uzupełniać dopiskiem: „na rachunek Klubu Wysokogórskiego".

2. Adres redakcji i administracji „Taternika" pozostaje bez zmiany. Konto czekowe „Taternika" Nr. 409.570.

3. Dla celów propagandowych wprowadza wydawca „Taternika" wydatną obniżkę ceny prenumeraty i pojedyńczych zeszytów pisma. Prenumerata roczna „Taternika" wynosi obecnie zaledwie 4 zł. Cenę pojedyńczego zeszytu ustalono na 1 zł (zeszytów specjalnych na 1·50 zł). Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika" o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.

4. Członkowie Klubu i Prenumeratorzy „Taternika" winni — celem zapewnienia sobie regularnego otrzymywania pisma — bezwłocznie zawiadamiać wprost Administrację „Taternika" o każdej zmianie swego adresu.

Ponadto Zarząd Klubu przypomina pp. Członkom Klubu, aby o zmianach adresu zawiadamiali również Zarząd tego Koła Miejscowego K.W.P.T.T., do którego należą.